



DATA WYDANIA 13.01.2010 R.

## WSTĘPNIAK

W związku z nadejściem nowego roku życzymy wszystkim, w tym oczywiście samym sobie, spełnienia – przynajmniej części – marzeń, zrealizowania planów i żeby kolejne miesiące przyniosły nam możliwie wiele satysfakcji, radości, fajnych chwil, które później zamienią się w niekonwencjonalne

wspomnienia. Maturzystom – osiągnięcia sukcesu nie tylko na maturze, ale i w życiu, rocznikom młodszemu – tego sukcesu porządnego zaplanowania.

Niewątpliwie istotnym artykułem nowego, styczniowego numeru jest wywiad z Panem Dyrektorem, ale w tekstach wra-

camy także do ciekawych wydarzeń z życia naszej szkoły, jak zwykle publikujemy Wasze recenzje i swobodne rozważania o (...)

(Oby) przyjemnego czytania!

PS Zachęcamy również do przyłączenia się do zespołu redakcyjnego.

## W tym numerze

Wstępniak

1

...Bo warto mieć marzenia 18-19

Zostać geniuszem?

19-21

Nie, dziękuję

Autorytet, czy potrzebny

21

Kłopoty z formą

22-24

Kontrowersje wokół

twardziela

24-26

### Z życia szkoły i nie tylko

Wywiad z Dyrektorem

Buczyńskim

2-4

Ziomki-poziomki, czyli rzecz o narkotykach

4-7

O krwiodawstwie raz jeszcze

7-8

Z pamiętnika kwestarki

8-9

Akcja Paczka 2009

10-11

/Po/świętecznie –  
podsumowanie apelu

12

Już za chwilę Studniówka

12-13

Spektakl – legenda Hłaski

13-14

### Felietony

Wywiad z ks. Rucińskim

14-16

Pokolenie Bravo?

17-18

### Podsumowania

Muzyczne podsumowanie

26-28

Sport – wygrani i przegrani

roku 2009

29-30

### Sylwetki

Wojciech Jagielski

31-32

Mariusz Szczygieł

32-33

Burton i reszta

33-34

### Recenzje

Chór Aleksandrowa

35

Berek

35-36

2012

36

Avatar

37-40

Coco Chanel

41

Fame

42

Cena uczuć

43

Ogniem i mieczem

43-44

### Twórczość własna

Z pamiętnika nastolatki

45-47

Moje myśli

48

It is the black

49

Listy do wielu

50

# Wywiad z Dyrektorem Buczyńskim

Wywiad autorstwa Moniki Kozakiewicz i Jakuba Brojka

*Osoba, która trzyma pieczę nad losami szkoły, dba o jej wizerunek na zewnątrz i decyduje o wielu sprawach, związanych z jej życiem. Dyrektor Ryszard Buczyński zgodził się udzielić odpowiedzi na kilka pytań uczniom naszej szkoły – Monice Kozakiewicz oraz Jakubowi Brojki.*

## **Czy funkcja dyrektora szkoły jest tym, o czym Pan marzył?**

Nie mogę powiedzieć, żebym od zawsze myślał o zostaniu dyrektorem, nie miałem aż takich marzeń. Za to pamiętam, że chciałem latać na szybowcach...

## **Jest Pan dyrektorem od wielu lat, obserwuje zmiany zachodzące w szkole, widzi jej ewolucję. Ale nas interesuje Pana stosunek do tradycji – które z działań szkoły postrzega Pan jako jej stały już element?**

Szkoła niedługo będzie miała sto lat – przez ten czas wykształciło się wiele tradycji i zwyczajów. W tym miejscu warto zwrócić uwagę na nauczanie języków obcych, co obecnie nie jest może wyróżnikiem, jednak kilkanaście lat wstecz było czymś wyjątkowym. Tradycją stały się obozy językowe, na które, jako uczniowie, macie okazję wyjeżdżać co roku. Wiąże się to z przynależnością do Szkół Stowarzyszonych UNESCO. Od kilkudziesięciu lat z naszą szkołą związana jest też pani Barbara Wachowicz, towarzyszy nam ona podczas obchodów Dni Patrona i uświetnia swoimi występami tę uroczystość. Jej wizyty zapisały

się już w naszej historii. Za tradycję można uznać również fakt, że szkoła stwarza możliwość uczestnictwa w dużej liczbie zajęć dodatkowych.

## **Wiąże się to z renomą naszej szkoły. Czy podziela Pan opinię, że jest ona jedną z najlepszych?**

Oczywiście. Na renomę wpływa wiele czynników. Przede wszystkim wiąże się ona z poziomem nauczania. Jeśli chodzi o rankingi, w których pod uwagę bierze się olimpiady, to jesteśmy w nich od początku. Nie świadczy to jednak o poziomie szkoły, lecz o tym, że w szkole jest pewna grupa nauczycieli, którzy potrafią odkryć uczniów szczególnie uzdolnionych i osiągać z nimi sukces. Jesteśmy także zrzeszeni w Towarzystwie Szkół Twórczych, które skupia 30 najlepszych szkół w Polsce, co niewątpliwie jest dla nas nobilitujące. Jednak Płońsk to małe środowisko, brakuje nam zaplecza akademickiego, jakie istnieje choćby w Warszawie czy Szczecinie, gdzie uczelnie współpracują ze szkołami. To nie ułatwia nam pracy, ale też nie zamyka naszym uczniom drogi do dalszego rozwoju. Temu rozwojowi sprzyja również nasza przynależność do Szkół Stowarzyszonych UNESCO. Nam zależy na tym, aby wszystkim uczniom zapewnić dobry start w dorosłe życie. Przede wszystkim liczą się wyniki egzaminu maturalnego – w tej kwestii możemy poszczycić się znaczącymi suk-

cesami. Samo zdanie matury nie jest dla nas osiągnięciem, w ciągu ostatnich pięciu lat tylko jedna osoba nie uzyskała świadectwa dojrzałości – chodzi o to, byście zdawali ją jak najlepiej, osiągnęli na tyle dobre wyniki, aby dostać się do wybranej szkoły wyższej. Ważne są przedmioty dodatkowe, bo z nimi wiąże się przyszłość akademicka. Co roku sprawdzamy, ile osób dostało się na studia, żeby mieć orientację, jak wyniki matury wpływają na decyzje naszych uczniów. W ostatnich latach prawie 100 % absolwentów rozpoczyna studia.

## **Na tym polega „śledzenie” dalszych losów absolwentów?**

Niestety uczelnie bezpośrednio nie udzielają nam takich informacji. O dalszych losach absolwentów dowiadujemy się bezpośrednio od nich, gdyż wychowawcy we wrześniu organizują spotkania z byłymi wychowankami. Na podstawie tych danych sporządzamy w każdym roku szczegółowy raport.

## **Wiele osób podejmuje naukę na zagranicznych uczelniach?**

Nasi absolwenci studiuje m.in. we Frankfurcie nad Odrą, gdzie istnieje polsko-niemiecka szkoła, a także we Francji, na Węgrzech. Zjawisko to nie jest jednak powszechne.

## **Mamy także absolwentów znanych, rozpoznawalnych. Czy np. pani Joanna Mucha lub pan Marek Orzechowski chętnie odwiedzają szkołę?**

Sylwetki znanych absolwentów zostały przedstawione w książ-

ce pt. „Trwałość pamięci”. Najbardziej rozpoznawalną z nich jest niewątpliwie pani Mucha, gdyż często pojawia się w telewizji. Oprócz polityki zajmuje się ona także pracą naukową. Akurat panią Joannę Muchę znam dobrze, ponieważ w czasach licealnych aktywnie uczestniczyła w pracach samorządu uczniowskiego. Pan Marek Orzechowski jest jednym ze starszych absolwentów, odwiedził ostatnio szkołę. Z innymi byłymi uczniami spotykamy się na zjazdach. Profesor Wesołowski, zmarły w styczniu 2010 r., mimo że nie dokończył nauki w naszej szkole, zawsze podkreślał, jak wiele jej zawdzięcza. Mamy także wśród absolwentów profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, np. Romualda Turkowskiego, Andrzeja Bukę. Byli uczniowie piszą listy, czasem przysyłają książki, są to bardzo sympatyczne gesty, które świadczą o przywiązaniu i pamięci.

**Pytaliśmy już o znaczenie tradycji. A jakie zmiany zauważa Pan w kolejnych rocznikach uczniów – w stylu bycia, podejściu do nauki?**

Po pierwsze – upowszechniło się wykształcenie średnie, co oznacza, że jego poziom się obniżył. Macie możliwość wyboru ścieżki kształcenia, na każdym etapie edukacji możecie zmieniać swoje zainteresowania. Kiedyś uczeń dostawał się do określonej klasy i musiał podążać tą drogą do końca. Jeśli odrzucimy otoczkę, sytuację polityczną etc. to zauważamy, że nie ma drastycznych różnic między Wami a młodzieżą z lat dawniejszych. Nadal jest grupa osób, która pracuje, której zale-

ży na wynikach, wiedzy. Są także jednostki, które podążają inną drogą, w każdym roczniku znajdują się osoby, które nie przykładają się do nauki tak jak powinny. Wasi starsi koledzy nie mieli dostępu do Internetu, na Was czyha więcej zagrożeń, ale macie także większe szanse rozwoju. Tylko od Was zależy, jak je wykorzystacie.

**Uczy Pan przedmiotów humanistycznych. Ostatnio prowadzone są akcje zachęcające do wybierania uczelni technicznych, gdyż mamy zbyt wielu absolwentów kierunków humanistycznych. Jakie jest Pana zdanie na ten temat?**

Jeżeli ktoś ma zdolności matematyczne, to będzie miał łatwiej. Faktycznie, osoby z wykształceniem technicznym są bardzo pożądane na rynku pracy. Jednak wszystko zależy od indywidualnych zainteresowań i uzdolnień. Jeśli ktoś nie odnajduje się z dziedzinach ścisłych, to nie ma sensu podążać tą drogą. Każdy powinien znaleźć coś odpowiedniego dla siebie i próbować się w tym spełniać.

**Jak ocenia Pan zmiany w formie egzaminu maturalnego?**

Na pewno pozytywnym skutkiem zmian jest wyeliminowanie egzaminów wstępnych na uczelnie, gdyż były one bardzo subiektywne. Jednak nowa matura nie jest idealna. Porównywanie wyników będzie się opierało jedynie na trzech podstawowych przedmiotach. Kolejne lata przyniosą dalej idące zmiany – m.in. obowiązek zdawania dwóch dodatkowych przedmiotów. Nie podoba mi się to, że uczniowie zdający np. rozszerzoną matematykę będą musieli zdawać dwa egzaminy

w ciągu jednego dnia. To samo dotyczy języka polskiego i obcego. Na pewno zmęczenie i stres będą miały istotny wpływ na wyniki.

**Jakie jest Pana zdanie dotyczące próbnej matury z matematyki?**

W naszej szkole matura poszła bardzo dobrze, tylko jedna osoba jej nie zaliczyła. Średni wynik to 73%, a sześć osób uzyskało wynik maksymalny. Nie wiem, czy uczniowie wyciągną z tej próby odpowiednie wnioski. Moim zdaniem uzyskanie pozytywnego wyniku nie będzie problemem.

**Interesuje nas również, w jaki sposób do szkoły przyjmuje się nowych nauczycieli. Kto o tym decyduje? Jakie są – oprócz odpowiedniego wykształcenia oczywiście – kryteria przyjęć?**

W szkole istnieje ramowy plan nauczania, który określa liczbę godzin oraz liczbę osób, które mogą zostać zatrudnione. Jeśli poszukujemy jakiegoś specjalisty, a nikt się nie zgłasza, to przyjmujemy osobę zaproponowaną przez kuratorium. Jeżeli kandydatów jest kilku, to decyzję podejmuje dyrektor. Oczywiście, od razu nie wiemy, czy dana osoba będzie dobrym nauczycielem, gdyż nie chodzi tylko o dyplom, lecz o podejście do pracy, do uczniów. Kiedy zatrudniamy nowego nauczyciela, nie możemy mieć pewności, czy jest to dobry wybór.

**Czy absolwenci naszej szkoły mają pierwszeństwo przy zatrudnianiu?**

W naszej szkole dokonała się wymiana kadry, w tej chwili nie ma wolnych etatów, ale... Jeśli miałbym do wyboru absolwen-

ta, o którym mam dobre zdanie i którego pamiętam np. z określonej działalności w szkole, i kandydata, którego nie znam, wybrałbym absolwenta. Jeżeli jest to człowiek, który wykazywał się aktywnością, miał ciekawą osobowość, dałbym mu szansę. Jednak samo bycie absolwentem nie daje pierwszeństwa przy zatrudnieniu. Poza tym dla mnie istotne jest szczególnie to, co potem – jak ten nauczyciel się sprawdza, jak odnajduje w pracy. Chciałbym, żeby ludzie, którzy będą współpracować z młodzieżą, dużo wymagali – od uczniów i od siebie. By widzieli w uczniach ludzi, którzy także mają swoje problemy, żeby pomagali im je rozwiązywać. Trzeba umieć pracować z ludźmi – niektórzy mają ten dar,

inni nie. Jedni potrafią rozmawiać, drudzy, niestety, nie.

### **Jakie są plany szkoły na najbliższe lata?**

Za dwa lata rozpocznie się reforma liceum. U nas zmiany wprowadzane są od kilku lat – m.in. nauczanie języków obcych w grupach międzyklasowych czy wdrażanie systemu rozszerzeń począwszy od klasy drugiej. Te zmiany będą jedną z podstaw przyszłej reformy. My robimy to już od lat. Kolejną zmianę wyjaśnię na przykładzie historii. Do tej pory uczeń całość materiału przyswajał w gimnazjum, a w liceum zaczynał od początku. Teraz będzie inaczej. Przez trzy lata gimnazjum pozna historię do XX wieku, a w pierwszej klasie liceum przerobi wiek XX i XXI. Na tym skończy się nauczanie tego

przedmiotu jako obowiązkowego. Dla tych, którzy będą zdawali go na maturze, prowadzone będą zajęcia dodatkowe. To samo będzie dotyczyło innych przedmiotów. Uważam to rozwiązanie za ciekawe. Jeśli chodzi o inne plany, to w przyszłym roku chcemy zacząć budowę sali gimnastycznej. Rozpocznemy także remont internatu, wprowadzimy nowe rozwiązania, żeby mieszkało się bardziej komfortowo. Mam nadzieję, że zrealizujemy plany wedle naszych założeń.

**W takim razie życzymy powodzenia. Dziękujemy za rozmowę.**

Również dziękuję.

## **Ziomki-poziomki, czyli rzecz o narkotykach**

Artykuł autorstwa Moniki Kozakiewicz oraz Anny Pałac

*Spotkanie z panem Arturem, założycielem stowarzyszenia Arka Noego, pomagającego osobom uzależnionym, wywołała wiele kontrowersji wśród uczniów naszej szkoły. Jedno jest pewne – mimo zastrzeżeń, mimo różnej oceny i prowadzącego, i jego metod służących zainteresowaniu słuchaczy – tego typu rozmowy/spotkania/wykłady są potrzebne. Bo może coś uświadomią, może zmienią sposób postrzegania świata czy ludzi, może pomogą, a na pewno – zainspirują (zmuszą?) do myślenia.*

**w ocenie Moniki Kozakiewicz oraz...**

Spotkanie dotyczące narkotyków – wszyscy myśleli, że będzie to kolejna nudna pogadanka o tym, co każdy już wie. Okazało się, że prowadzący to nie lekarz, policjant czy psycholog. Nie od razu powiedział, kim jest. Wyglądał zabawnie, gestykulował, zwracał się do nas, jak do przedszkolaków – ziomki-poziomki. Posługiwał się młodzieżowym slangiem oraz niezbyt poprawną polszczyzną. Myślę, że cała ta zabawna otoczka miała na celu skupienie naszej uwagi na problemie, który miał zamiar przedstawić.

Prezentacja przypadku – dziewczyna, która wpadła w sidła nałogu narkotykowego. Na początku brała, żeby odciąć się od problemów w domu, żeby wyluzować się na imprezach. Szybko uzależniła się, a głód narkotykowy był tak silny, że zgadzała się – za najmniejszą nawet dawkę – uprawiać seks z przygodnymi partnerami. Liczyła się tylko potrzeba brania. Jej historia miała być przestrogą, gdyż – jak się potem okazało – kilka miesięcy po "wywiadzie" zmarła. Kolejno przedstawione: pobicie dziecka, wypadek samochodu

wy i tym podobne.

Prowadzący wysunął wniosek, iż karygodny jest każdy, nawet minimalny kontakt z substancją, gdyż to właśnie on staje się powodem tragedii. Wiele osób nie zgadza się z tym stwierdzeniem, wiedzą one z autopsji, że kieliszek wódki, jedno piwo czy jednorazowa przygoda z narkotykami nie muszą stać się przyczyną wypadku. Są ludzie, którzy sporadycznie sięgają po używki, a nigdy nie zdarzyło im się spowodować nieszczęścia. Co więcej, dużo osób uważa, że kontakt z substancją wcale nie musi prowadzić do uzależnienia, a człowiek powinien spróbować wszystkiego, aby na własnej skórze przekonać się, jaki wpływ wywierają na niego poszczególne używki. Niestety, nie zawsze jest to słuszna postawa, gdyż zdarzają się przypadki śmierci po pierwszym zażyciu narkotyków – nawet małej ich ilości. Ukazując istotę problemu, prowadzący często zmieniał ton, zdarzało się, że krzyczał, pragnąc zwrócić na siebie uwagę wszystkich zgromadzonych. Zaprezentowano nam sposoby, których używają dilerzy w celu przyciągnięcia potencjalnych klientów. Do "scenek" włączeni zostali – bez pytania ich o zdanie – nauczyciele, co wzbudziło salwy śmiechu na sali. Prowadzący starał się uświadomić nam, jak łatwo wpaść w sidła nałogu i jak trudno potem wyplątać się z niego. W sumie wszyscy zdają sobie z tego sprawę, ale większość nie zastanawia się nawet nad skutkami ewentualnej styczości z narkotykami. "Ziomek" starał się także upodobnić nieco do nas, słuchaczy, naśladowując język

czy sposób zachowania się. Próbował dostosować się do naszych realiów, celowo używał nazw miejsc w Płońsku, które wszyscy znamy. Jest to w pewnym sensie sposobem na dotarcie do młodzieży, jednak niektórzy odebrali to po prostu jako przejaw śmieszności.

Można powiedzieć, że spotkanie zostało nieformalnie podzielone na dwie części – wyżej wspomniane nakreślenie problemu uzależnień, przyczyny i skutki popadnięcia w nałóg, statystyki, przykłady. Istota sprawy została zaprezentowana w sposób interesujący, jednak niektóre z wniosków pana Artura uważam za przesadne. Jednorazowy czy sporadyczny kontakt z substancją nie musi być powodem nieszczęścia, a prowadzący nie rozgraniczył głupoty od zdrowego rozsądku. Włosi piją przecież wino do obiadu i nie staje się to przyczyną codziennych tragedii.

Bardziej zaskakująca okazała się druga część spotkania, a mianowicie opowieść o życiu pana Artura. Trudne dzieciństwo, alkoholizm ojca, choroba i śmierć matki, brak perspektyw na przyszłość... Historia została opowiedziana w niezwykle wzruszający sposób, nie obyło się bez łez – zarówno z jego strony, jak i wśród słuchaczy. Okazało się też, czym zajmuje się ten mężczyzna – jest prezesem stowarzyszenia Arka Noego, działającego na rzecz walki z uzależnieniami. Starał się przekazać, jak ważna w życiu jest rodzina, zdrowie, a także szkoła i wykształcenie oraz, w jego przypadku, wiara, która dała mu siłę do walki o własną przyszłość. Wszyscy słuchali w

skupieniu, gdyż nie sposób było nie zainteresować się tą – bądź co bądź – bardzo smutną, wzruszającą historią. Na koniec dostaliśmy do wypełnienia ankiety dotyczące uzależnień, w tle rozbrzmiewała piosenka "Nie pij tato". Kiedy rozejrzałam się po sali, dostrzegłam, że wszyscy w skupieniu zapisują swoje refleksje lub wsłuchują się w słowa piosenki. Kilka osób płakało. Ze spotkania wyszłam jakby w transie, gdyż skłoniło do przemyśleń, nie tylko na temat uzależnień, ale przede wszystkim na temat własnego życia.

Wydawało się, że "ziomek" trafił do nas poprzez niekonwencjonalne podejście do sprawy. W szkole tego dnia odbyły się cztery takie spotkania. Okazało się, że podczas każdego z nich prowadzący płakał, opowiadając swą historię. Oczywiście, miał do tego prawo, nie śmiem wątpić w prawdziwość jego relacji, jednak wcześniej myślałam, że po prostu wróciły do niego wspomnienia, którymi odważył się z nami podzielić. W każdym razie uważam, że to spotkanie było dość wyjątkowe, problem uzależnień plus prawdziwa historia, pełna smutnych zdarzeń, trafiła do słuchaczy. Zastanawiam się tylko, na ile łyzy i łamanie się głosu było autentycznym przejawem wzruszenia, a na ile próbą skradzenia naszych emocji...

### ... Ani Pałac

W pierwszy grudniowy poranek odwiedził naszą szkołę dość niezwykle gość. Tydzień wcześniej ogłoszono, że czeka nas „lekcja ćpania”, byliśmy więc przygotowani na jakąś po-

gadankę o narkotykach. Nikt nie przykładał do tej wizyty szczególnej wagi. Niestety, albo wręcz na szczęście, wcale nie poszło tak prosto, tak nieinteresująco, tak zabawnie i tak mało realnie, jak większość przypuszczała.

Weszliśmy do auli, gdzie obsługiwał laptop zaniedbany, tęgi mężczyzna – chyba nikt nie spodziewał się czegoś wielce specjalnego. Pozwolę zacząć ten artykuł, wbrew swojej naturze, od kilku defektów spotkania. Jak już mówiłam, przyszedliśmy, licząc na dwie godziny błędzenia myślami wokół (...). Pan rozpoczął swoją wizytę bardzo niefortunnie, co wielu zraziło, bowiem nazwał nas ziomkami-poziomkami. Trudno wymagać od młodych, dość inteligentnych i myślących ludzi reakcji innej niż spojrzenie wyrażające co najmniej dezaprobatę. Mężczyzna wyczuł ją, jednakże oznajmił nam, że chce się tak do nas zwracać, więc nikt się nie sprzeciwiał – byłoby to przecież niegrzeczne. Następnie przeszedł do swego mrozącego krew w żyłach monologu. Użyłam tego sformułowania świadomie, ponieważ przeraził mnie ton wypowiedzi tego pana. Opowiadał nam obrzydliwe, zatrważające rzeczy o ludziach, którzy biorą narkotyki, palą i piją alkohol, pokazywał artykuły o mordercach, popełniających zbrodnie w wyniku kontaktu z substancją (artykuły pochodziły z „Faktu”, ich autentyczność jest więc mocno wątpliwa), oglądaliśmy film, w którym wystąpiła dziewczyna pragnąca wyrwać się z narkotykowego bagna. Wszystko po to, byśmy zrozumieli, że temat narkotyków do-

tyczy każdego z nas, a także, że największym problemem nie jest uzależnienie się od pewnych substancji, ale sięgnięcie po nie jeden jedyny raz. Ten jeden jedyny raz prowadzi najczęściej albo do jakiegoś wypadku, albo zaczyna się przeradzać w kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt razy.

Minus? Prowadzący, mówiąc te wszystkie okropieństwa, mające nam uzmysłowić konsekwencje kontaktu z substancją, zwracał się do nas jak do małych, nierozumnych dzieci, mieszał zdrobnienia, słodkie słówka z kolkwializmami, wulgaryzmami. Przypominało mi to przedstawienie i to dość kiepskiej jakości. Mężczyzna za wszelką cenę chciał zwrócić naszą uwagę, momentami przesadzając z konwencją groteski. Rozumiem, że młodych ludzi interesuje tylko to, co szokujące, co kontrowersyjne, jednak moim zdaniem nadmierne tragizowanie przyniesie skutek odwrotny do zamierzonego. Pan tak bardzo chciał nam udowodnić swoją prawdziwość, swoje zaangażowanie, entuzjazm, że w pewnej chwili miałam wrażenie, że robi sobie ze mnie żarty, że jest fałszywy do szpiku kości, że to tylko manipulacja moimi uczuciami, emocjami, że chce jedynie sprawdzić moją psychiczną wytrzymałość i że to, o czym mówi, właściwie nie ma znaczenia. Podobnie mówiłby o wyprzedkach przedświątecznych. Z drugiej strony, skoro wybrał właśnie taki temat, pomagając w ten sposób młodzieży walczyć z demonami wieku dojrzewania, to świadczy o jego szlachetności, bezinteresowności a więc o cechach zacnych. Skąd więc mój

negatywny wywód powyżej? Otóż nie chodzi o żadną formę buntu, nie mam do pana żadnych zastrzeżeń, nie chcę nikomu udowodniać, że świat jest beznadziejny. To nie żaden manifest wymierzony w ludzi, którzy chcą mnie, jako młodego człowieka, umoralniać czy przestrzec. Uważam tylko, że nie każdy był na takie spotkanie przygotowany i ja znalazłam się w grupie tych niegotowych. Przede mną stał człowiek dosyć dziwnie się zachowujący a dodatkową atrakcją były jego rozbiegane oczy. Patrzył na mnie, wyznając, jak to mu na nas wszystkich zebranych w sali zależy, podkreślam, użył słowa „zależy”. Nie znając nas, pierwszy raz widząc na oczy? – śmiem wątpić, by poruszyły go problemy obcych ludzi, by zmartwił się, gdyby coś nam się stało. Wydaje mi się naturalnym, że zapomniał zaraz po wyjściu nasze twarze. Może jednak inaczej niż on postrzegam świat i ludzi?

W drugiej części spotkania mężczyzna odpowiadał nam na pytanie, dlaczego właściwie zajmuje się pomaganiem narkomanom i ludziom narażonym na kontakt z narkotykiem. Była to bardzo smutna, wzruszająca historia o chłopcu, którego ojciec był alkoholikiem. Przez długie lata swojego dzieciństwa był bity, poniżany. Jego jedynym świątecznym wspomnieniem jest tata biegnący po domu z siekierą. Jego mama była ciężko chora, a dziadkowie, zamiast pomóc, przywozili ojcu alkohol. To przez ojca miał ograniczony kontakt z matką i to przez niego kobieta zmarła. Po tych traumatycznych przeży-

ciach mężczyzna postanowił pilnie się uczyć i przyłożyć rękę do tego, by patologicznych rodzin, by ludzi oddających swe umysły i ciała używkom było jak najmniej. Kiedy opowiadał nam o spotkaniu z ojcem po latach, płakał. Myślę, że głośne opowiadanie o sprawach tak intymnych, tak bolesnych, by zmienić coś w tym okrutnym świecie, jest godne podziwu. Zasluguje na pewno na wielki szacunek. Ale... może powinienam przestać wynajdować tyle problemów, jednak... znowu miałam wrażenie uwydatniania pewnych wydarzeń, wkładania w tę smutną opowieść zbyt dużej ilości dramaturgii. Możliwe, że jest to moja reakcja obronna na odwagę, szczerść tego człowieka, na którą mnie pewnie nigdy nie będzie stać. Być może też jestem zbyt niedojrzała, zbyt

mało doświadczona, by pojąć ideę nauczania, pokazywania prawdy w taki sposób, ewentualnie po prostu bliższe mi są prostsze formy. Odniosłam wrażenie, że pan Artur wielokrotnie koloryzował, co potęgował dodatkowo jego wizerunek szaleńca. Cel jednak szczytny, więc może uświęca nikomu niesprawiające szkody środki, jakimi są drobna hiperbolizacja zdarzeń i elementy teatru? Jeśli ktoś dzięki temu nie sięgnie po niebezpieczną substancję, to chyba warto.

W podsumowaniu swoich rozważań chciałabym bardzo podziękować za wyżej wspomnianą „lekcję ćpania”. Pomimo wszystkich moich obiekcji, myślę, że ta wizyta była nam wszystkim bardzo potrzebna, wielu dzięki niej przeżyło

oczyszczenie, coś stało się pewne, jasne, inni natomiast zaczęli myśleć, zastanawiać się, monolog prowadzącego spowodował lawinę sprzecznych myśli, ponieważ pokazał on narkotykowy przemysł z innej, jeszcze ciemniejszej strony. Działalność tego niepozornego mężczyzny jest godna podziwu. Mimo że wykorzystywana przez niego stylizacja, forma przekazu niezbyt mnie przekonuje, to jestem bardzo wdzięczna za poruszenie mnie, za sprowokowanie bardzo poważnych rozważań na temat używek. Myślę, że ten człowiek wykonuje kawał dobrej roboty dla ludzkości, może więc nie deprecjonujemy jej, nie zmarnujemy?

## O krwiodawstwie raz jeszcze

Artykuł autorstwa Weroniki Anczewskiej

Akcja krwiodawstwa odbyła się w naszej szkole w dniu 24.11. Inicjatorem tego przedsięwzięcia był sor Sławomir Kowalski. Tegorocznym maturzystom pobudki przyświecały różne, od chęci zasmakowania pakietu czekolad po jakże kuszące zwolnienie z lekcji. Jednak cel był jeden, pomoc potrzebującym.

Po rozmowie z niektórymi, którzy pokusili się o ten szlachetny gest, rysuje się wyraźny obraz wielkości tego przedsięwzięcia.

Na pytanie:

- Dlaczego postanowiłeś/ postanowiłaś oddać krew, odpowiedź

pada jednoznaczna:

- Aby pomóc.

Maturzyści wypowiadali się:

- Dla mnie to tylko 0,5 l krwi, nic mi się nie stanie, a komuś innemu może to uratować życie.

Maturzyści zwracali uwagę na ułatwienie, jakim była możliwość oddawania krwi w czasie lekcji:

- Autobus to świetny pomysł! Jesteśmy w klasie, zabiegani. W czasie między lekcjami a innymi zajęciami rzadko kiedy mamy czas pomyśleć o innych. Dzięki takiej akcji mamy możliwość

pomocy innym podana praktycznie na tacy.

Warto zwrócić uwagę na to, aby do oddawania krwi podejść racjonalnie. Nie zawsze spontanicznie podjęta decyzja będzie słuszna. Warto pamiętać, że 28 h przed oddawaniem krwi nie można spożywać alkoholu. Bez użyteczna będzie krew oddawana przez kobietę w czasie menstruacji lub przez osobę chorą. Wyklucza się także osoby, które poddały się percingowi bądź tatuowaniu w czasie 6 miesięcy przed oddawaniem krwi. Wszystkie informacje zawarte są w ankietach, które trzeba wypeł-

nić tuż przed.

Przy okazji takich akcji warto uświadamiać, iż do każdej operacji zużywane jest minimum 4-6 litrów krwi (czyli krew od 8-12 osób!), a także wspomnieć o tym, że w bankach krwi w ciągu roku krwi o czynniku Rh- jest znacznie mniej niż Rh+

1% AB Rh-

2% B Rh -

6% 0, A Rh-

W dzisiejszym materialistycznym świecie krwiodawstwo staje się niezwykłą inicjatywą. Pomagamy, a niekiedy nawet ratujemy życie ludziom anonimowym, którzy tej pomocy po-

trzebują. Jest to pomoc w pełni dojrzała i świadoma. W tym roku pokusiły się o to 93 osoby. Ci, którzy nie zdążyli, okazję będą mieli jeszcze w lutym. Miejmy nadzieję, że chętnych będzie coraz więcej, bo dar krwi jest niekiedy darem życia.

Zapraszam do odwiedzania strony :

[www.krewniacy.pl](http://www.krewniacy.pl)

## Z pamiętnika kwestarki

Artykuł autorstwa Ewy Dzitowskiej

Wszystko zaczęło się od niewinnego pytania, postawionego w szatni naszej szkoły w piątek o godzinie 15, a dokładniej – podczas zakładania butów. „Ewa, przyjdiesz na kwestę w niedzielę?” – zapytała jedna z moich koleżanek ze Szkolnego Koła PCK. „Czemu by nie?” – pomyślałam, po czym spytałam jeszcze o miejsce i czas zbiórki. Chwilę później, niewiele myśląc, przystąpiłam na niespodziewaną propozycję.

Zgodnie z daną obietnicą, w ostatnią niedzielę listopada wraz z moją przyjaciółką o godzinie 8.00 stawiłyśmy się na ul. Płockiej 19 (obok Galerii P), gdzie działa Zarząd Rejonowy

Polskiego Czerwonego Krzyża w Płońsku. Dopiero na miejscu dowiedziałam się, że nasza kwesta została zorganizowana w ramach ogólnopolskiej akcji Gwiazdka Czerwonokrzyska, a pieniądze przez nas zebrane przeznaczone zostaną na zakup paczek świątecznych dla dzieci z biednych rodzin w okolicach Płońska. Następnie wszyscy otrzymaliśmy upoważnienia świadczące, iż działamy na rzecz PCK, a także puszek oraz naklejki z charakterystycznym czerwonym krzyżem na białym tle.

Pełne entuzjazmu, razem z moją przyjaciółką ruszyłyśmy w drogę. Nie przeszkadzał nam silny

wiatr ani srogi mróz. Nie czułyśmy zimna i z radością ślizgałyśmy się po oblodzonych chodnikach. Nasza działalność wydawała nam się w tej chwili wyjątkowo szlachetna i szczerze cieszyłyśmy się, że możemy uczynić święta w wielu rodzinach piękniejszymi. Na twarzach gościły nam szerokie uśmiechy. Miałyśmy wręcz wrażenie, że w tej chęci niesienia pomocy nie jesteśmy odosobnione. Jak się jednak później okazało, rzeczywistość nie zawsze przedstawia się tak różowo...

Po upływie ok. 30 minut krążenia po mieście zdałyśmy sobie sprawę z pewnego zjawiska, a mianowicie – wszechobecnej, można by powiedzieć, obojętno-



ści. Pomijając wyjątki, każdy przechodzeń, jakiego spotkałyśmy na swojej drodze, na nasz widok niespodziewanie odwracał głowę w inną stronę, sięgał po telefon komórkowy lub przybierał minę dobitnie mówiącą: „Dajcie mi spokój!”. Mało kto zwracał uwagę na to, co mówimy i w jakiej sprawie działamy. Czasami niektórym udało się wykrztusić: „Nie mam pieniędzy” lub „Gdybym miał/a, to bym dał/a”. Powoli zaczęło nam dokuczać zimno, a nasz dotychczasowy zapał słabł z każdą chwilą. Zważając na praktycznie pustą puszkę, stwierdziłyśmy, iż stosowna przez nas do tej pory taktyka nie daje oczekiwanych rezultatów, tak więc postanowiłyśmy zdecydować się na jeden, stały punkt, w którym mogłybyśmy kwestować. Nasz wybór padł na jeden z płońskich marketów.

Myślę, że była to najlepsza decyzja, którą podjęłyśmy owego dnia. Nauczone wcześniejszym doświadczeniem, zajęłyśmy strategiczne miejsce – tuż przed wejściem do sklepu. Dzięki temu rozwiązaniu każdy, chcąc wejść do marketu, nie mógł po prostu nas „nie zauważyć” i ominąć. W ciągu trzech godzin, które tam spędziłyśmy, widziałyśmy bardzo wielu ludzi w różnym wieku. Spotkałyśmy się także z wieloma reakcjami spowodowanymi naszym widokiem. Niektórzy zachowywali się wobec nas bardzo życzliwie – z zainteresowaniem wypytywali o samą

akcję, naszą działalność czy obdarzali szczerym uśmiechem. Wyjątkowo serdecznie wspominał starszą panią w czerwonej pelerynce, opowiadającą nam o swoim zaangażowaniu w działalność PCK w młodości. Albo małego chłopca ciągnącego wciąż swoją mamę w naszą stronę i krzyczącego: „Naklejka, naklejka!”. Najbardziej jednak zaskoczyła nas pewna młoda kobieta. Podeszła do nas z uśmiechem, wrzuciła monetę do puszeki, po czym niespodziewa-



nie dała mi do ręki całe opakowanie gum do żucia, stwierdzając jednocześnie: „Robicie dobrą robotę dziewczynki!”. Tak sobie teraz myślę, że to była chyba jedna z takich chwil, kiedy człowiekowi nic już więcej do szczęścia nie potrzeba...

Wcześniej wspominałam jednak, że reakcje na nasz widok bywały różne. Niestety, zdarzyły się również negatywne, wręcz nieprzyjemne. Przykrość sprawiły nam choćby słowa: „Przestańcie

żebrać”. Zetknęłyśmy się także z ciekawym określeniem – „My nie wspieramy ludzi, my wspieramy zwierzęta”. Najbardziej w pamięci utkwiał mi jednak pewien starszy pan, który, bezpodstawnie zresztą, zarzucał nam, jakobyśmy zebrane przez nas pieniądze zamierzały wziąć dla siebie.

Zważając jednak na wszystko, czas, który spędziłyśmy kwestując, upłynął nam wyjątkowo szybko. Zgodnie z umową, około godziny 12 ruszyłyśmy z powrotem, aby oddać naszą puszkę i podliczyć zebrane przez nas pieniądze. Na miejscu okazało się, iż udało nam się zbierać prawie 160 zł, a łączna kwota zebrana przez wszystkich kwestarzy wyniosła 16-1648 zł 48 gr.

Po powrocie do domu, ogrzaniu się, kubku ciepłej herbaty, przyszedł także czas na refleksję. Biorąc pod uwagę choćby samo zaangażowanie płońszczan w kwestę, można by pomyśleć, że głoszone obec-

nie coraz częściej hasła o ogarniającej społeczeństwo „znieczulicy”, zaniku wszelkich wartości, nadmiernej konsumpcji i komercjalizacji, są prawdziwe i podparte faktami. Z drugiej strony jednak nie można zapomnieć o wszystkich darczyńcach, którzy wsparli akcję z radością. Reasumując – myślę, że tak naprawdę otacza nas wiele piękna. Piękno to bowiem tkwi w każdym z nas. Nie każdy jednak pragnie/potrafi je z siebie wydobyć.

## Akcja Paczka 2009

Artykuł autorstwa Kamila Fijałskiego

W dniach 11 – 13 grudnia 2009 r. harcerze ze Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej pochodzący z Płocka, Nasielska oraz Płońska i Raciąża brali udział w akcji Paczka '09.

Celem naszego wyjazdu na Wileńszczyznę było dostarczenie paczek świątecznych dzieciom z polskich domów dziecka działających na terenie ziemi wileńskiej. Trzydniowa wyprawa zakończyła się dużym sukcesem, o czym najlepiej świadczyły uśmiechy dzieci, które dosłownie oszalały na nasz widok :)

Nasz wyjazd zaczął się w piątek wieczorem, kiedy to jeszcze pełni energii i entuzjazmu wsiadaliśmy do autokaru. Nerwowe napięcie, chwila niepokoju, kiedy żołądki niebezpiecznie podchodzą pod gardło i jedziemy :) Po 8 godzinach jazdy, nasza energia życiowa oraz entuzjazm osłabł, żeby nie powiedzieć, że zniknął... Po męczącej podróży każdy już chyba tylko marzył o ciepłym śpiworze i... no cóż, twardej podłodze, na której przyszło nam spać (ach, te uroki biwakowania ;]). Pobudka o 7... Nie. O 8. Czemu? Po prostu inna strefa czasowa. W auli szkolnej, w której przyszło nam tymczasowo mieszkać, w kącie dumnie stoi wieża stereo. Włączamy, a tu z głośników leci litewskie radio ESKA. No jest muzyka, to i jest impreza :) Ale nie ma czasu na balowanie. Szybkie śniadanie harcerskie (czyli np. kanapka z chlebem) i ruszamy w miasto, znaczący się w Wilno.

Nasz przewodnik, dość wysoki pan w ok. 50. roku życia, mówiący z niezwykle silnym akcentem litewskim, był bardzo sympatyczny i ciekawie opowiadał nam historię nie tylko stolicy Litwy, ale i okolic. Miasto jak miasto. Dużo zabytków, w tym też wiele śladów polskich, dużo zamieszania, sklepów, targowisk i oczywiście ludzi.

Nic więcej chyba powiedzieć nie można, może tylko tyle, że można dogadać się w każdym języku tej części Europy, a pani w kantorze, która zapytała nas: „no jile kur...cze chceta pieniądźów wymieniać?” jest po prostu przeurocza :)

Po długim i wyczerpującym zwiedzaniu nadszedł czas luzu, zabawy i szeroko pojmowanej rozrywki na sposoby wszelakie. Ponadto już w sobotę przygotowaliśmy się do naszego wejścia do domu dziecka, do którego to właśnie mieliśmy zawieźć nasze paczki, ale również pobawić się z dziećmi i po prostu zorganizować im trochę czasu. Podzieleni na dwa pionki: zuchów (dzieci od 0 do ok. 10. roku życia) i starszych (starszych niż 10 lat :)) wymyśliliśmy różne gry, harce, zabawy, płasy i inne czasoumiałcze dla naszych przyszłych podopiecznych. Dzień każdy skończył o odpowiedniej porze, wg stopnia, funkcji i wytrzymałości bez snu:) Rekordziści nie skończyli dnia w ogóle :P

Niedziela przywitała nas...

mrozem. To niesamowite, zważywszy, iż w poprzednich dniach świeciło słońce i ogólnie było ciepło. Bez zbędnych ceregieli (w tym również bez śniadania...) pojechaliśmy na mszę św. do Kościoła św. Teresy (tuż obok Ostrej Bramy). Po tym był czas na pamiątki i oczywistą sesję zdjęciową. Następnie... niespodzianka! Można zjeść śniadanie! :) Po ok. godzinie (tym razem było również coś ekstra do chleba :) zapakowaliśmy paczki (?) i ruszyliśmy w trasę. Dom dziecka oddalony był ok. 80 km od Wilna, tak więc podróż jak na polskie standardy trwała dość szybko.

W środku powitało nas ok. 60 polskich dzieci. Niektórzy na początku trochę trzymający się na uboczu, niektórzy trochę przestraszeni, inni za to od początku kupujący nasze gesty i uśmiechy. Po wstępnym zapoznaniu oraz krótkim świeczkowisku harcerskim ruszyliśmy z dziećmi do zabawy. Już po kilku minutach większość z nas była zmęczona, pot spływał z czoła, ale nikt nie przestawał się bawić. Wszyscy razem w kółku, kwadracie, trójkącie czy innej formie spędziliśmy miło czas, jednocześnie poznając się nawzajem. Po wszystkim przyszedł w końcu czas na prezenty :). Po tym, co tam zobaczyliśmy, w 100% zgadzam się ze stwierdzeniem, że dawanie daje więcej radości niż branie.

Uśmiechy dzieci, ich słowa podziękowania i ogólna radość

wszystkich obdarowanych były dla nas najpiękniejszym prezentem, jaki mogliśmy dostać w zamian. Na koniec jeszcze tylko kubek gorącej herbaty i niestety trzeba się pożegnać. Uścisków i przytulańców nie było końca, choć trzeba było już odjeżdżać...

Mimo wszystko, pomimo trudu, wysiłku i dużego zmęczenia nikt nie miał prawa nie być zadowolonym z naszej wyprawy. Nawet fakt, iż następnego dnia trzeba iść do szkoły, nie mógł zabrać nam tych wszystkich obrazów, emocji i wspomnień, które każdy z nas zachowa dla siebie na długo. Takie akcje jak

ta uświadamiają nam, jak bardzo na świecie brakuje miłości i zrozumienia dla drugiego człowieka. I jak bardzo cierpią z tego powodu Ci, którzy na to nie zasłużyli – dzieci.

## /Po/świętecznie – podsumowanie apelu

Artykuł autorstwa Mateusza Gerasika

Jeżeli myślicie, że tym razem o wyrozumiałość prosić już nie będę, to muszę Was niestety rozczarować. W życiu potrzeba cierpliwości, a moja osoba wymaga jej od innych w bardzo dużych ilościach. Posiadane przeze mnie zdolności humanistyczne są tak samo wysokie jak wcześniej, a bogactwo językowe uszczupliło się w nocy z trzydziestego pierwszego grudnia na pierwszego stycznia. Mimo wszystko postaram się Was zachwycić moim polotem i brazylijską wręcz fantazją (pozdro, Brożus :\*). O czym to ja dzisiaj... Aaa, wiem! Postaram się przybliżyć przygotowania do występu przedświątecznego. Może będę zaskakujący, ale interesujące to nie będzie. „Akademia” – bo tak się nazywała, przynajmniej według nie-

których niezwykle utalentowanych aktorów tak się nazywała – dotyczyła (uwaga, znów zaskakuję) świąt (teraz można czuć się zaskoczonym). Teraz można trochę ochłonać. O, już, czas minął. A więc reasumując – słowo bardzo często powtarzane podczas przygotowywania występu – zaczęło się niewinnie. Dostaliśmy teksty, każdy mógł się zapoznać ze swoją rolą. Jednym słowem: sympatycznie. A teraz „surprise”. Na przygotowanie apelu trwającego godzinę lekcyjną dostaliśmy dwa tygodnie. Szok, dzika histeria i ataki padaczki to tylko niektóre z reakcji, które ta wieść w nas wywołała. Całe szczęście, że obeszło się bez pomocy lekarza. Jako że należymy do kółka kabaretowego, wypadało by wymyślić coś własnego, bo ko-

piowanie uwłacza szanującemu się kabaretowi, a nawet jego szkolnemu odpowiednikowi. BURZA MÓZGÓW. A może dokładniej, z dużej chmury mały deszcz.

Po bezproduktywnym czasie ujawnili się wirtuozi tak zwanego kwasu albo osoby za takich się uważające. Pośmiejmy się z ludzi, bo tak najłatwiej – podejście przeciętnego nastolatka. Okej, wracam do głównej myśli tekstu, bo wątki społeczne to nie moja mocna strona, ewentualnie zajmę się nimi innym razem.

A więc stało się. Tym razem ucierpieli charakterystyczni nauczyciele. Plan mało ambitny, ale skuteczny. Teraz czas na coś od kółka teatralnego. Tu już mogliśmy skorzystać z gotowca. Występ z przesłaniem negującym postawę polskich rodzin

wobec religijnej strony Świąt Bożego Narodzenia. No i zaczęły się próby. Chaos, chaos, po stokroć chaos! Można było dostać białej gorączki albo i wścieklizny. No i tutaj moje natchnienie się kończy... Jest już późno, mój mózg nie pracuje jak należy. Pytanie, czy on to robi kiedykolwiek, po głębszym namyśle okazuje się retorycznym. Ale, hm, mimo wszystko mógłbym coś z siebie wykrzesać. Dobrze... Mówiąc o wyniku naszej pracy, wydaje mi się, że jest w porządku. Nie poddaliśmy się problemom technicznym, nie daliśmy poznać po sobie nieznajomości części tekstu, nie daliśmy się pokonać tremie. Jak widać przeżyliśmy, więc jest się z czego cieszyć. Będę już kończył, bo nie chcę przynudzać, ale musisz mi

przyznać, że poprzedni TurboDymoMan był lepszy. Zbliżając się ku końcowi, chciałbym gorąco polecić piosenkę zespołu Myslovitz - „Długość dźwięku samotności”. Kooooonieeeeeec!

## Już za chwilę Studniówka !

Artykuł autorstwa Jakuba Brojka

Już 30 stycznia tegoroczni maturzyści ruszą w rytm poloneza Chopina. Czasu coraz mniej, a przygotowania ruszają pełną parą. Bal, tradycyjnie w naszej szkole, odbędzie się w pierwszą sobotę ferii zimowych w płońskiej hali sportowej.

Najbliższe 30 dni, dla mnie i dla moich rówieśników, będą bardzo ważne. Na jakiś czas wszyscy odkładamy na drugi plan przygotowania do matury, a nasze głowy zaprzętać będzie właśnie dzień 30 stycznia. Ktoś mógłby zapytać: „O co tyle hałasu?”. W końcu to jeden z najważniejszych wieczorów w naszym życiu, trzeba

się ładnie prezentować (szczególnie na płycie, którą obejrzą, z dokładnością, nasze babcie i nasi rodzice). Będzie to także nasze pożegnanie z 3 latami nauki a przed wszystkim z naszymi wychowawcami i nauczycielami – nic tak nie łączy jak wspólna zabawa.

To może teraz kilka słów o przygotowaniach. Każda klasa wytypowała swoich przedstawicieli, którzy są jej głosem, podejmują wspólnie decyzje. Jak co roku, jednym z elementów takich obrad było wybranie motywu przewodniego studniówki. Zdecydowano się na „Bal wenecki – bal kró-

lewski”. Początkowo poloneza dziewczęta tańczyć miały, częściowo, w maskach. Jednak ostatecznie zrezygnowano z tego pomysłu. Taki motyw to wielkie wyzwanie, ponieważ kreacja zobowiązuje i powinna kojarzyć się z motywem. Chłopcy też powinni dostosować się do motywu, a w szczególności do sukni partnerki. Zakupy to jednak nie wszystko. Ruszyły próby poloneza. Z początku w chaosie, ale z każdą chwilą wszystkim szło coraz lepiej. Trwały także zapisy do grupy artystycznej, która pod opieką pani Barbary Sawczuk-Gołaszewskiej przedstawi pro-

gram artystyczny, a także zbierano osoby chętne do dekoracji sali przed studniówką. Chętnych było wielu, szczególnie do tej drugiej grupy.

Wszystko nabierze tempa w styczniu. W tym czasie rozegra się, chyba jedna z najważniejszych spraw przedstudniówkowych, a mianowicie sprawa czołówek. Tu każda z klas musi wykazać się solidarnością i poczuciem humoru. Wiadomo, że każdy ma inną jej wizję, ale takie jest życie, liczy się umiejętność chodzenia na kompromisy. Większość z klas ma jakiś konkretny pomysł, którego się trzyma, zachodzą tylko korekcyjne zmiany. Być może część osób chciałaby, żeby wszystko rozegrało się spontanicznie, ale wydaje mi się, że lepiej jest mieć konkretną wizję i scenariusz, a nawet kilka prób przed ostatecznym nagraniem.

Mówiąc o nagraniach należy wspomnieć, że w tym roku ponownie zdecydowano się na ofertę *Studio Grupy*. Udało mi się skontaktować z osobą, związaną z tą firmą. Chciałem się dowiedzieć, jak wyglądają przygotowania z tej drugiej

strony. Operatorzy kamer nie mają łatwego zadania. Przygotowania rozpoczynają się od nagrywania czołówki z klasą. Bardzo ważna jest dla nich współpraca z młodzieżą. Chcą mieć scenariusz i konkretną wizję tego, czego się od nich wymaga. Wtedy wiadomo, jaka kamera będzie najlepsza do danego ujęcia i czy potrzebny będzie kolejny mikrofon. Po nagraniu przychodzi czas na długie godziny spędzone przy montażu. Na początku układa się sceny zgodnie ze scenariuszem, potem dodaje muzykę a na końcu napisy i efekty. Tutaj nie ma miejsca na spontaniczność, liczy się pomysł, by później nie narzekać, że coś jest nie po naszej myśli. Klip początkowy jest najtrudniejszy do przygotowania. Sama studniówka do nagrania i montażu jest o wiele łatwiejsza. Każda klasa otrzymuje swojego kamerzystę (po to było zamieszanie ze znaczkami). Oprócz tego jest jeszcze kamerzysta na tzw. wysięgniku. *Studio Grupa* zapewnia pełną organizację studniówki, więc nie powinniśmy się niczym specjalnie martwić.

Zapomniałbym chyba o jednej z najistotniejszych rzeczy. Mam nadzieję, że panie kupiły już czerwone podwiązki, no a panowie nie zapomną o czerwonej bieliźnie. Ze studniówką wiąże się wiele innych przesądów. Po 30 stycznia wszyscy staniemy się w pewnym sensie hippisami, ze względu na długość włosów. Ponoć nie wolno ich ścinać aż do zakończenia matur. Podobno jeśli przyszło się już w danych butach na bal, pod żadnym pozorem nie należy ich zdejmować do jego zakończenia! Niestety piekące nogi będą musiały wytrzymać... Ostatnio modne stało się także pożyczanie rzeczy, tak jak w przypadku wesela, od osoby roztropnej.

Przedstudniówkowe szaleństwo trwa nieprzerwanie wśród tegorocznych maturzystów i trwać będzie jeszcze przez najbliższe 30 dni. Emocje opadną dopiero wtedy, kiedy zabrzmi ostatni dźwięk tak świetnie zatańczonego poloneza. A od tego momentu czas będzie płynął znacznie szybciej, zostanie tylko 100 dni...

## Spektakl – legenda Marka Hłaski

W ostatnim tygodniu przed feriami w szkolnej auli zostanie wystawiony spektakl – przeznaczony głównie dla klas 2. i 3. liceum – bazujący na twórczości Marka Hłaski, jednego z pisarzy zwanych outsiderami, kaskaderami literatury. Przedstawienie przygotowują uczniowie naszej szkoły, którzy mają na celu ukazanie nie tylko oryginalności zjawi-

ska literackiego, jakim była proza Hłaski, ale także oddanie kolorytu jego twórczości i wskazanie na jej uniwersalność. Zaprezentowane zostaną kolejno trzy jego opowiadania: „Pierwszy krok w chmurach”, „Śliczna dziewczyna” oraz „Lombard złudzeń”. Mamy nadzieję, że nasza interpretacja tych tekstów przypadnie Wam do gustu.

Poniżej prezentujemy – być może części z Was nieznaną – sylwetkę Marka Hłaski.

Hłasko – mizogin, alkoholik, genialny pisarz i ostatecznie – samobójca. Prawda o nim do dziś jest nieznaną. I do dziś Hłasko wzbudza kontrowersje

– i swoją biografią, i swoją twórczością. Jest kochany i nie-nawidzony jednocześnie.

Żył, pracował w latach szczególnie dla Polski trudnych – w okresie komunizmu. Choć zadebiutował częściowo tendencyjną „Sonatą marymoncką”, szybko odciął się od pustych haseł tej ideologii. Ale ten dystans sprawił jednocześnie, że stał się niewygodny. W 1958 roku wiele sprzecznych emocji wzbudził jego zbiór opowiadań „Pierwszy krok w chmurach” – brudne opowieści o brudnej Polsce ostro kontrastowały z ideami socrealizmu, raziły brzydota języka i brzydota ludzi. Uderzały prawdą. I uczyniły z Hłaski outsidera polskiej literatury, a wkrótce też przyczyniły się do decyzji o emigracji. Wyjazd do Niemiec był równoznaczny z uznaniem go przez prasę tego okresu za „zdrajcę ojczyzny”. Powrót był niemożliwy.

Kochany przez ikony takie jak Hanna Golde czy Agnieszka Osiecka, ale też Jerzy Andrzejewski czy Jarosław Iwaszkiewicz nigdy i nigdzie nie czuł się szczęśliwy.

Ani w szarej, komunistycznej

Polsce ani w – pozornie – kolonijnej Ameryce. Do Stanów Zjednoczonych go Roman Polański – tutaj poznał między innymi Krzysztofa Komedę. Ale Ameryka również rozczarowała pisarza. Podobnie jak Izrael, Anglia i Niemcy.

Rozczarowywały go miejsca, wydarzenia, ludzie. Cały czas miał też potrzebę budowania własnej legendy, był więc mitomanem – bał się zapomnienia, starości i – śmieszności. W powieściach i opowiadaniach opisywał świat szary, pełen niezrozumienia i ludzi odrzuconych – takich jak on sam.

Współcześnie Hłasko uległ częściowemu zapomnieniu, a szkoda, bo jego twórczość wydaje się bardzo uniwersalna. Gdy czyta się „Lombard złudzeń” czy „Śliczną dziewczynę”, nie czuje się bariery tych kilkudziesięciu lat. Opowieść o konkretnych sytuacjach, znanych nam z codzienności, potoczny język niestroniący od wulgaryzmów, ekspresja w słownictwie i umiejętność budowania napięcia oraz bohaterowie – rozczarowani, wiecznie poszukujący, często nie-szczęśliwi, jeszcze częściej zagubieni – to wszystko powo-

duje, że twórczość Hłaski jest młoda, mimo że jej autor nie żyje już od 40 lat.

Przedstawienie, na które Was zapraszamy, nie ma być hołdem złożonym Hłasce. Ma być dowodem na to, że dobra – a może przede wszystkim mocna – literatura jest ponadczasowa, bo – jak mówił Oscar Wilde – „Nie ma książek moralnych i niemoralnych, są tylko książki dobrze i źle napisane”. Zapraszamy na – naszym zdaniem – przygodę z dobrze napisanym „Pierwszym krokiem w chmurach”. Mamy jednocześnie nadzieję, że będzie to dla Was nie tyle obowiązek, ile przyjemność.

## Kryzys, ból jest zawsze po coś...

Z ks. Rucińskim rozmawiają Tomasz Antosiewicz i Jakub Nowak

### Jak ksiądz odnajduje się w Płońsku, w naszej szkole?

Początki były trudne. Nikogo nie znałem – zarówno w parafii, jak i w szkole. Poruszałem się trochę jak dziecko we mgle. Ale czas robił swoje i ja też robi-

łem. Z natury jestem osobą, która w miarę szybko przystosowuje się do miejsca, nie mam też, tak myślę, problemów z nawiązywaniem relacji. Teraz czuję się dobrze, bezpiecznie. Parafia i szkoła stwarzają mi dużo możliwości do pracy, do

działania. Chce mi się pracować. Jest OK.

### W jaki sposób praca w Płońsku odbiega od wcześniejszej pracy Księdza?

Rozpoczywałem swoją pracę w mniejszej parafii – wiejskiej. To

trochę inna rzeczywistość. Choć przyznam, że pewne rzeczy są stałe: sama szkoła (uczyłem 20 godzin), tam też miałem zajęcia związane z parafią: Msza Święta, kazania, spowiedź, praca z młodzieżą, zespoły muzyczne itd. Jest na pewno inaczej, ale to nie znaczy, że jest jakaś niesamowita przepaść. Tam też byli Ludzie, którzy potrzebowali księdza. Staralem się dla nich BYĆ.

### **Do kogo są adresowane organizowane od niedawna katechezy audiowizualne?**

Ten pomysł zrodził się rzeczywiście niedawno, bo we wrześniu tego roku. Katechezy są adresowane do dwóch grup ludzi: młodzieży i dorosłych. I powiem jeszcze, że do Ludzi, którzy szukają swojego miejsca w Kościele (niekoniecznie chodzi mi o 5. ławkę po lewej stronie). Temat katechez jest dość kontrowersyjny, bo taki miał być: „Wiara nie jest głupców...” Staram się zapraszać na te katechezy osoby, który sprostają głównej myśli katechez. Zawsze jest krótki film, katecheza i możliwość zadawania pytań. Kolejna katecheza w lutym (dokładny termin będzie podany), ale już teraz serdecznie zapraszam.

### **Co Ksiądz chciałby zmienić, do czego Ksiądz dąży?**

Ktoś kiedyś powiedział tak: chciałem zmienić cały świat, a zrozumiałem, że mogę zmienić tylko siebie. Więc... siebie. Do czego dążyć? Hmm... może to zabrzmie zbyt patetycznie, ale dążyć do nieba.

### **Miał Ksiądz kiedykolwiek załamania w wierze, pojawiały się kryzysy? Czy czuje się**

### **Ksiądz na odpowiednim miejscu, głosząc Słowo Boże?**

Pytanie jest dwuczłonowe, więc najpierw odpowiem na tę pierwszą część. Oczywiście, że miałem wątpliwości, załamania, kryzysy. Te doświadczenia są wpisane w nasze życie. Bez nich ono nie miałoby sensu, byłoby mdłe, nudne, szare. Zawsze jest też podejrzane, jeśli ktoś cały czas biega wesoły, łatwo się pociesza, bo to znaczy, że nie rozumie albo nie chce zrozumieć siebie. Idzie na skróty, a idąc na skróty, ułatwi sobie życie, wyrządzając sobie i innym krzywdę. Bo tak już jest w naszym życiu, że kiedy przychodzi ból, kryzys, cierpienie, to chcemy go uniknąć. Boimy się tego, co trudne, chcemy, by szybko minęło. Rozmawiamy, chodzimy do różnych specjalistów, łykamy tabletki, modlimy się. Wszystko po to, żeby ból, kryzys minął. A przecież – i tu dochodzimy do pewnego ważnego momentu – kryzys w życiu to nie jest coś złego, jest zawsze po coś... A czy znajduję się na odpowiednim miejscu, głosząc Słowo Boże? Choć czasem jest ciężko, to nie wyobrażam sobie innego życia. Słowo Boże jest dla mnie takim barometrem – przede wszystkim dla mnie. Nigdy nie wchodzę na ambonę nienawróconym. Ja, głosząc Słowo, chcę nim żyć.

### **Kiedy i w jakich okolicznościach poczuł Ksiądz powołanie?**

Nie wiem, czy to można poczuć. Dla mnie to jest jakiś proces, który dojrzewa, rozwija się. Tak naprawdę kapłaństwo wybierałem kilka razy – będąc już na studiach w seminarium. Ta-

ki przełomowy czas nastąpił jednak pod koniec II klasy liceum. Pamiętam spowiedź wielkopostną z całego życia – od tego momentu Pan Bóg nie dawał mi spokoju. I dałem się uwieść.

### **Co Ksiądz może powiedzieć na temat współczesnej moralności – tej ściśle nas dotyczącej?**

Trudne pytanie. Nas czyli Ludzi młodych? To jest szeroki temat. Z wielu stron można by do niego podchodzić... Pojawiła się trochę chora kultura ponowoczesności, w której trudno dorastać młodym ludziom do własnych marzeń, ideałów. W mediach, czasopiśmiech bezpośrednio adresowanych do nastolatków najgłośniejszą wypowiedzią się demoralizatorzy i cynicy. Oni często kreują taką kulturę nijakości. Osobiście – choć sam czuję się młody – współczuję młodym Ludziom tego, jak zaczynają postrzegać życie, świat. Jestem wdzięczny i pełen uznania dla tych wszystkich dorosłych, którzy wychowują, a nie demoralizują czy rozpieszczają. Jeszcze jakieś 10, 15 lat temu, kiedy byłem nastolatkiem, nikt, a szczególnie moi rodzice, mnie nie oszukiwał, że istnieje łatwe szczęście, że można dorobić, idąc po trupach, że można współżyć gdziekolwiek, z kimkolwiek, kiedykolwiek. Nikt mi nie wmawiał, że zasady, normy moralne to przybytek i ograniczenie ludzkiej wolności. Obecnie młodzi Ludzie są niesamowicie manipulowani, bombardowani jakimiś fikcjami, że należy robić to, co się chce i niczym się nie przejmować. Ks. Marek Dziewięcki, psycholog, mówi, że „w czasie, w którym żyjemy, istnieje tak

zwana dyktatura relatywizmu. A zatem potrzebujemy – dodaje – powrotu do normalności, czyli uwolnienia się od toksycznych ideologii...”. Ja bym tylko dodał, że dzisiaj młodzież potrzebuje kompetentnych, mądrych, szlachetnych świadków. Papież Paweł VI w adhortacji Evangelii nuntiandi powiedział: „Świat nie potrzebuje nauczycieli, ale świadków, a jeśli potrzebuje nauczycieli, to dlatego, że są świadkami”.

### **Co Ksiądz najbardziej denerwuje w polskiej młodzieży?**

Na pewno jest tego trochę. Powiem o dwóch rzeczach: bierność w podejściu do życia i cynizm. Bierność, która polega na tym, że co ja tam będę się wysilał, niech inni popracują, starają się. Większość nic nie robi i jakoś żyje. Jakoś na pewno... Ale z tego rodzi się często cynizm. Cynizm jest dla mnie wielkim nowotworem, który będzie zabijał w nas wrażliwość, dobro, uczciwość, zrozumienie – generalnie nasze człowieczeństwo.

### **Czy ma Ksiądz autorytet?**

Mam autorytet. Nie chciałbym tu wymieniać tych osób. Dla mnie to są przede wszystkim osoby, które dużo w swoim życiu doświadczyły, mają taką życiową, prostą mądrość. Ja po prostu kocham przybywać z tymi Ludźmi i wiem, że bez nich moje życie nie miałoby smaku.

### **Ma Ksiądz przyjaciół? Czym ona jest według Księdza?**

Mam dwoje przyjaciół. Czym jest? Sama etymologia tego słowa mówi w zasadzie wszystko o przyjaźni. Przyjaźń to bycie przy mojej jaźni (przy – jaźń), czyli bycie bardzo blisko siebie.

Tyle. Bez wielkich słów. Przyjaźń jest bardzo trudna. Ja się czasem boję, że my za mocno szafujemy tym słowem, trochę tak, jakbyśmy nie znali jego znaczenia.

### **Boi się Ksiądz śmierci?**

Nie. Na pewno z takiej ludzkiej strony śmierć jest czymś, co przeraża, napawa lękiem i to jest naturalne. Śmierć też pozostawia jakąś pustkę, ból, rozpacz. Natomiast ja jestem człowiekiem wierzącym i wierzę, że w śmierci jest życie. Prowadziłem wiele pogrzebów i zawsze towarzyszyło mi takie myślenie, o którym mówię Ludziom w homiliach pogrzebowych – nie do śmierci należy ostatnie słowo.

### **Jak Ksiądz ocenia konflikt na płaszczyźnie religia – nauka? Jak Ksiądz reaguje na twierdzenia, które negują wiarę?**

Konflikt... nie wiem, czy to dobre słowo. Zawsze byli ludzie, którzy poszukiwali, negowali – nawet oczywiste rzeczy. Wydaje mi się, że ten konflikt jest pozorny i wynika z niewiedzy. Jego podstawy są czysto ideologiczne. Richard Dawkins – brytyjski uczony – jest przekonany, że z ewolucjonistycznego punktu widzenia religia nie ma sensu. Mówi, że „wiara jest umysłowym wirusem, sprytnym memem” (mem byłby odpowiednikiem genu, potrafiącym powielać się, przeskakującym z umysłu na umysł). W tej relacji wiara – nauka potrzeba takiego uczciwego spojrzenia: są pewne rzeczy, które można przedstawić naukowo... i to się robi, ale wiara – i to jest fakt – wykracza

często poza ten świat zmysłowy (choćby zjawisko uzdrowień, cudów, kwestia opętania etc). To nie matematyka: odtąd – odtąd. Być może – jak powiedział kiedyś Marks – wiara jest opium dla ludu. I wielu Ludzi tak do tego podchodzi. Życie jest ciężkie (tak przynajmniej uważają niektórzy), więc znajdujemy sobie pocieszenia w postaci „dobrego boga”, jakim jest nauka, do którego można się uciec w każdej trudnej chwili. Bo takie ciągle siedzenie w nauce też jest pewnego rodzaju leczeniem swoich kompleksów. Nie neguję wartości nauki (sam się jeszcze uczę), ale uważam, że ona nie może dać nam odpowiedzi na wiele z pytań. Proszę mi wytłumaczyć naukowo śmierć 15-letniego chłopaka, który zachorował na nowotwór i nie dał rady pokonać choroby – zmarł. Prowadziłem ten pogrzeb i mówiłem kazanie. Co powiedzieć? Jeśli bym nie miał wiary, to nie powinienem się nawet odzywać – chociażby z szacunku do rodziców. Czy łatwiej żyć, nie wierząc...? Czy wiara jest w stanie się ostać w zderzeniu ze współczesnością, naukowością i różnymi prądami, które próbują ją podkopać oraz udowodnić jej nieprzydatność? To jest temat na książkę. No może przesadziłem, ale na pewno na porządny artykuł. A na koniec taka mała myśl: „Pierwszy łyk z kielicha wiedzy prowadzi do ateizmu, ale na dnie tego kielicha czeka Bóg” – mówi Werner Heisenberg.



## Pokolenie Bravo?

Artykuł autorstwa Mateusza Bajkowskiego

Wczoraj (nie będę zdradzał daty, żeby było ciekawiej, może w przyszłości ktoś to przeczyta i przyzna mi rację), przechadzając się po sklepie, zwróciłem uwagę na wystawę gazet. Dzienniki, informacje polityczne, codzienne gazety – 5%, na oddzielnym stojaku. Ściana obok zajęta była resztą gazet. Cała. Od sufitu aż do podłogi. I tak: gazety naukowe, popularno-naukowe – 2%, czasopisma specjalistyczne, dotyczące hobby – 5%. Cała reszta (jak to z moich obliczeń wynika – 88%) była wypełniona tabloidami, najrozmaitszego formatu „Paniami domu”, „Bravo” itp. Cóż, jest to spowodowane gospodarką i popytem na tego typu czasopisma. Nasza, jakże świetnie wykształcona gospodarka, opiera się na jak największej ilości sprzedanych produktów. To nakręca rynek. Ale czy jest to w porządku? Zastanawiając się dalej, doszedłem do wniosku, że tego typu rzeczy niszczą nasze życie. Począwszy od lat najmłodszych, skończywszy na starości. Nie tylko prasa, lecz także telewizja, Internet, słowem – mass media. Funkcje mass mediów są przeróżne. Jedną z nich jest funkcja destrukcyjna. Inteligencji, emocji, kontaktów ludzkich... Patrząc na pokolenie niewiele młodszych (już 3-4 lata) kolegów, dochodzę do wniosku, że dzisiejsze mass media ograniczają ludzi. Jeszcze kilka lat temu były, może nie do końca, ale jednak w większym stopniu – normalne. Rozwijały ludzi, gdyż standard życia i inteligencji społeczeństwa miał się poprawić. Byłoby to lepsze dla wszystkich. Droga jest jednak bardziej zawiła. Przychodzą panowie w garniturach, z czarnymi teczuszkami

w rękach, rodem z „Facetów w czerni” (no, może bez czarnych okularów), siadają kulturalnie przy stole. Piękne asystentki w krótkich, obcisłych spódniczkach przynoszą drinki, oczywiście bezalkoholowe, gdyż panowie są w pracy. Zaczyna się rozmowa, coś w stylu debaty. Tematem są pieniądze. No bo o czym innym można dyskutować w sali konferencyjnej luksusowego biurowca? Rozmowa trwa.

- Potrzebuję nowego samochodu, to Ferrari jest już zbyt stare.
- Moja żona chce nowe mieszkanie, bo w obecnym nie ma garderoby.
- Ja chcę kupić letnią posiadłość w Kalifornii.
- Macie rację, zrobmy ludzi głępszymi.

Cóż, tak to się zaczęło. Jako że prasa łatwa, niewymagająca, nieposzerzająca horyzontów ma największy popyt, a żądza pieniędzy burżuizma jest nie do opisania, trzeba zwiększyć jej rynek. Zalejmy go bzdetami, ludzie i tak się nie zorientują. Co nam szkodzi, w końcu mamy do stracenia tylko społeczeństwo. Nieważne, że zamieni się ono w matolów, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że są manipulowani przez media. To nieistotne. I tak oto, obecnie w kioskach dominuje prasa pilotowa (jest pilotem do sterowania ludźmi). W telewizji większość programów dotyczy katastrof, marności życia ludzkiego. W końcu takie rzeczy ogląda się najlepiej, są najciekawsze. Internet aż roi się od reklam i tytułów przyciągających wzrok przeciętnego człowieka. To przynosi popularność, dalej pieniądze, dalej zadowolenie ludzi na „wysokich fotelach”. Czyli



wszystko się zgadza. Mass media poruszają kilka głównych tematów, które nigdy się nie nudzą. Jednym z nich jest erotyka. Dawniej – zdjęcia erotyczne, obecnie – pornograficzne. No tak, rozbierzmy tę kobietę, po co zostawiać cokolwiek wyobraźni. Więcej ludzi będzie chciało to kupić. Dobrze, bo nam na tym zależy. Poza tym trzeba trzymać się pewnych kanonów mody. Jak można wyjść na miasto ubranym we własnym stylu? Skopiujmy kogoś, będziemy bardziej atrakcyjni. Nie wyrażajmy własnych poglądów, trzymajmy się ścisłych standardów nadawanych nam przez mass media. Będzie fajnie. Z pewnością. Obecne media są takie oryginalne... Przecież one nic nie kopiują. Tylko na co drugiej stronie są atrakcyjne kobiety ubrane tak samo. To przecież nie znaczy, że na każdej.

A właśnie, atrakcyjne kobiety. Ciekawe czemu odnotowujemy coraz więcej przypadków anoreksji tudzież bulimii? To takie frapujące. Kobiety przedstawiane społeczeństwu jako bóstwa wcale nie są przecież idealne na zdjęciach. Poza tym nikt nie wynalazł jeszcze programu, którym będzie można edytować zdjęcia,

nanosić poprawki, ulepszać je, a co za tym idzie – manipulować społeczeństwem. Naśladowanie ideałów jest niewykonalne, gdyż ideałów nie ma. Są one sztucznie wykreowane przez ludzi, którzy mają do tego jedyną motywację: pieniądze.

Ciekaw jestem, kiedy zorientujemy się, że inteligencja nasza/naszych znajomych/naszych dzieci spada. Co trzeci nastolatek lub nastolatka, obok których przechodzę, da się zaszklakować do jednego z kilku (bardzo ograniczona liczba) schema-

tów egzystencji, zachowań, sposobu ubioru, charakteru. I wcale nie jest to swojego rodzaju zamknięcie społeczeństwa w klatce. Skądże...

## O babci staruszcze i życiowych planach...

Artykuł autorstwa Zuzanny Paszkowskiej

Moja Babcia Staruszcza ma w zwyczaju przy każdej nadarzącej się okazji wypytywać wszystkich członków rodziny o plany na przyszłość. Tak było i podczas tych świąt bożonarodzeniowych, lecz co w tym roku wydarzyło się tak szczególnego, że zdecydowałam się o tym napisać? Otóż okazuje się, że to, co jest w naszych „planach na przyszłość”, w większości przypadków nijak się ma do tego, czego od życia rzeczywiście byśmy chcieli. To, co zamierzamy robić, diametralnie odbiega od naszych marzeń. Przykład? Mój ojciec zawsze chciał zostać gwiazdą rocka i do dziś nie może sobie wybaczyć, że nawet nie spróbował. Mamie – lekarce – od dzieciństwa marzyły się podróże po świecie i zawód etnografa. Brat, który chciał zostać kierowcą wyścigowym lub choćby pracować przy samochodach, studiuję oceanotechnikę i budowę okrętów, a jego dziewczyna, która skrywa duszę artystyczną, skończyła na architekturze, gdzie popada w konflikty z profesorami, bo nie chce podporządkować się narzucanym jej stylom. Może się niepotrzebnie uzewnętrzniam lub popeł-

niam wielką hipokryzję, może rodzina mnie skarci za zdradę sekretów, ale to, co powiem, chcę poprzeć na – jak to mówią – faktach autentycznych.

Nie wierzyłam, że tylko moi domownicy są tak życiowo nieszczęśliwie pokręceni, że to jednorazowe fatum i to tylko nasz klan tak totalnie się zagubił podczas dokonywania życiowych wyborów. Postanowiłam zrobić wywiad środowiskowy i gdy pytam znajomych, jak jest z wyborami u nich, słyszę podobne odpowiedzi – „wybieram to, choć zawsze marzyłem o czymś innym”. Kolega mógłby być genialnym muzykiem, ale odrzuca tę możliwość, bo woli wybrać drogę mniej skomplikowaną. Znana mi młoda poetka zostanie prawnikiem, dziewczyna z uzdolnieniami i zacięciem do fotografii wybiera finanse i bankowość. Zastanawiam się, czy my specjalnie czynimy się nieszczęśliwymi, czy może chcemy być szczęśliwi na siłę? (choć w sumie może jest to tym samym?) Nie należy akceptować faktu – oraz przyjmować go za stałą życiową – że możemy się do wszystkiego przyzwyczaić, nawet jeżeli nie sprawia nam to większej przy-

jemności. Takie wybory mogą mieć daleko idące, nieszczęsne dla nas konsekwencje. Pomijając mało miarodajne wyniki naszej pracy, mogą one doprowadzić do postępującego zubożenia, zniechęcenia wobec własnej osoby, wszelkiego rodzaju apatii bądź też depresji, pogorszenia się kontaktów z najbliższymi, a może nawet niekontrolowanych przedziwnych desperackich czynów. Na co dzień widzimy ludzi (choćby w szkole!), którzy minęli się z życiowym powołaniem. I jak tu żyć w takim społeczeństwie? Jaki czynnik wpływa na nas tak bardzo, powodując, że swoją drogę życiową wybieramy tak odległą od naszych prawdziwych zainteresowań? Przed spełnianiem naszych marzeń powstrzymują nas różnorakie przyczyny techniczne, brak funduszy, rodzice, którzy odgórnie narzucają nam swoją wolę, ale najgorzej jest, gdy powstrzymuje nas brak odwagi i wiary w siebie lub też lenistwo. Tego zwykle się sobie nie wybacza i pamięta do końca.

Rozumiem, że życie skłania nas często do takich, a nie innych decyzji, że zwykle należy martwić się o zarobki i zapewnienie

sobie bytu, że trzeba myśleć o tym, skąd wziąć pieniądze na rachunki i nie każdy może sobie pozwolić na spełnianie własnego „widzimisię”, ale... Co z naszym szczęściem czy samorealizacją? To w końcu nasze życie i mamy żyć szczególnie dla siebie, więc chyba warto trochę powalczyć? W tych kwestiach nie należy obawiać się egoizmu. Osiągniemy wielki życiowy sukces, jeśli w przyszłości nasza praca będzie nas zadowalać, wtedy będziemy mogli z niej czerpać profity. Gorzej, gdy

tak się nie stanie.

Jaka jest rada mojej babci? Otóż Babcia Staruszczyńska uważa, że w życiu ważne jest, abyśmy przede wszystkim byli wobec siebie wymagający i dokładnie wiedzieli, czego chcemy. I nie są to słowa puste, bo ta kobieta wie, co mówi. Mając lat 28, pracowała w zakładzie pracy jako najzwyczajniejsza sprzątaczką, ale pewnego dnia postanowiła, że coś musi zmienić, że się marnuje. I tak chwilowo pozostawiła męża, dwójkę dzieci i wyjechała do odległego miasta Białegostoku,

gdzie zdała egzaminy i dostała się na Akademię Medyczną. Po 6 latach zakończyła studia, później specjalizacje itd., ale nagle jej życie zupełnie się zmieniło. Babcia pracuje do dziś. Nie opowiadam tej historii bez przyczyny. Dla mnie to piękny przykład prostej życiowej odwagi, umiejętności dokonania radykalnych zmian i postawienia na swoim. Każdego z nas na to stać, wystarczy chcieć. Warto. Jaka jest moja rada? Starajmy się swoim życiem kierować tak, abyśmy codziennie rano z ochotą wstawali z łóżka.

## Zostać geniuszem. Nie, dziękuję

Artykuł autorstwa Zuzanny Paszkowskiej

Gdy słyszę o człowieku, którego IQ wynosi 210 (dla porównania, Albert Einstein miał zaledwie 160), od razu wyobrażam sobie, że taka osoba z pewnością przenosi przedmioty siłą woli, może się teleportować lub też wyprawia inne niestworzone rzeczy w własnym zaciszu domowym. Koleżanka Olga ostatnio zapoznała mnie z postacią Kim Ung - Yonga, bo o nim właśnie mowa. Ten mega geniusz, urodzony w 1962 roku w Korei (nie wiadomo czy w północnej czy południowej), figuruje w Księdze Rekordów Guinnessa jako człowiek, posiadający najwyższe IQ na naszej planecie. W wieku lat 4 potrafił posługiwać się językiem japońskim, koreańskim, niemieckim i angielskim. Rok później, całkowanie czy różniczkowanie nie kryły przed nim żadnych tajemnic, bez problemu rozwiązywał najtrudniejsze zadania matematyczne. Robi wrażenie? To dopiero początek. Jako kilkulatek

był gwiazdą telewizji, oczarowując widzów swoją znajomością języków - zaraz po skończeniu 4. urodzin opanował dodatkowo chiński, hiszpański oraz wietnamski. Między 3. a 6. rokiem życia Kim był gościnnym słuchaczem fizyki na Uniwersytecie Hanyang. W wieku 7 lat został zaproszony do Ameryki przez NASA. Ukończył studia i obronił pracę doktorską z fizyki na Uniwersytecie Colorado State przed 15. rokiem życia. W 1974 roku, podczas studiów na uniwersytecie, podjął pracę dla NASA i kontynuował ją aż do jego powrotu do Korei w 1978 roku. Postanowił wtedy zmienić specjalizację z fizyki na inżynierię lądową i obronił doktorat w tej dziedzinie. I teraz dalej wiedzie swój żywot, realizuje się w pracy, odnosi sukcesy, wiele myśli i ma ciekawe pomysły.

Z pewnością jego dokonania imponują każdemu. Olga jest

zachwycona, a jedyne, co mi przychodzi do głowy, to - „Co za biedny człowiek, jakie biedne dziecko!”. Pomyślcie, jak tragicznie musiało wyglądać jego dzieciństwo. Zero zabaw, kolegów z podwórka, wchodzenia na drzewo, głupich gier, zachowywania się „jak dziecko” i płaczu, że „podwieczorek jest dzisiaj nie taki”. Zamiast oglądania telewizji i lenistwa - rozwiązywanie zadań, nauka i liczne testy, które wciąż chcą przeprowadzać jacyś dziwni dorośli ludzie. Nie uwierzę, że jego dojrzałość życiowa, emocjonalna była w 100% równa z możliwościami umysłowymi. Oczywiście jest całkiem realne, iż zdobywanie wiedzy i ciągłe uczenie się nowych rzeczy mogło mu się podobać oraz było dla niego atrakcyjne. Gdy ludziom coś się udaje, są w tym dobrzy, proste jest, że w to wchodzi. Ale przecież dla niego to była pułapka. Kim został postawiony w sytuacji nieciekawej, kie-

dy wszyscy czegoś od niego wymagają i oczekują. Nikt nie poradzi sobie z taką presją. Dzieciak nie mógł sobie pozwolić na dzieciństwo, bo przecież musiał myśleć o studiach. Kto w wieku 5 lat w ogóle myśli?! W dodatku abstrakcyjnie. Dla mnie to tragedia życiowa, w pewnym sensie paradoksalnie równa opóźnieniu umysłowemu. Tak samo jesteś ograniczony, tak samo nie masz dostępu do pewnych rzeczy, tak samo coś tracisz i tak samo jesteś... samotny. Wiadomym jest, że wszyscy geniusze tego świata, mniejsi czy więksi, borykali się z własną osobowością, wariacjami, psychozami i samotnością. Bo kto zrozumie takiego człowieka? Co myśli, co czuje? Kim od dzieciństwa obracał się w towarzystwie ludzi starszych, a wiadomo, że to na nikogo dobrze nie wpływa. Trzeba przyznać, że dorosłość rządzi się swoimi prawami i nie jest to miejsce dla dzieci, nawet tych genialnych. A gdzie czas na powolne, etapowe poznawanie świata, uczenia się rozpoznawania dobra i zła, gdzie czas na piękno, miłość i niewinność? Ten człowiek był zmuszony do przeskoczenia na od razu najwyższy życiowy level. Mnie bardziej interesuje nie to, co potrafi obliczyć, w ilu językach mówić i o ilu rzeczach potrafi opowiadać (niektórych nazw nawet nie potrafię powtórzyć), ale to, jakim jest człowiekiem, jak ukształtowała się jego psychika, co myśli o sobie, życiu i tym, co go spotkało, jak żyje się, będąc taką osobą, ile przeżył traum, depresji i jak często nie akceptowało go najbliższe otoczenie. Szkoda, że

nikt nie mówi o takich rzeczach, że nikogo to nie interesuje, że większość skupia się tylko na tym, jak go wykorzystać. Z jednej strony nie jest to niczym dziwnym, gdyż kiepsko byłoby zmarnować taki potencjał, ale z drugiej strony jest to nieco nieludzkie.

Zastanawiam się, czy kiedyś mogło być prościej takim ludziom, świat był dla nich kiedykolwiek łaskawszy? I tu ponownie dwie skrajności – z jednej strony zdecydowanie tak, z drugiej strony zdecydowanie nie. Dawno temu, gdy edukacja nie była jeszcze dla wszystkich powszechnie dostępna, a żadne media nie były rozwinięte, trudniej było odkryć niecodzienne zdolności, a później je ogłosić szerszej publice. To wiąże się z pocieszającym faktem, iż mali geniusze mieli więcej czasu na dzieciństwo i na dojrzwianie w odpowiednim tempie. Z pewnością eksploatowanie takiej jednostki było również znacznie mniejsze (głównie ze względu na to, że nikt do końca nie wiedział, jak to robić.) Faktem jest, że zwykli, prości ludzie rozumieli kiedyś zdecydowanie mniej i tracili zainteresowanie czymś, czego nie byli w stanie pojąć. Byli zbyt zajęci zapewnianiem sobie bytu. Możliwe zatem jest, że nasz geniusz miał więcej swobody. I to jest korzyść. Problemy jednak zaczynały się, gdy ktoś znacznie odstawał od społeczeństwa. Łatwo jest przekroczyć tę cienką granicę między momentem, kiedy nasza inność jest jeszcze dla innych obojętna, a kiedy zaczyna przeszkadzać. Wszystko zależało od osoby, która się wyróżniała. Ale jak

przystało na geniuszy, byli to ludzie inteligentni, a więc szybko orientowali się, w jakim świecie żyją i zapewne niejednokrotnie wygłaszali publicznie swoje niezadowolenie bądź też własne innowacyjne idee czy pomysły. Takie zachowania, zwłaszcza dawniej, zdecydowanie były przyjmowane ze sprzeciwem. W przyrodzie tak się dzieje, że zwykle wszystkie organizmy żywe dążą do zachowania panującego status quo J. Ludzie szybko się przyzwyczajają do rzeczywistości, w której żyją, a już szczególnie nie lubią, gdy ktoś im mówi, że sposób, w jaki coś robią, jest nieodpowiedni. Jeśli nasz geniusz miał ambicje zostać gwiazdą reformacji, jego żywot mógł okazać się wyjątkowo krótki. Mądrym kobietom było być jeszcze trudniej. Chęć pobierania nauki lub nieukrywanie swojej wiedzy szybko ukrócano. Zwykle bardzo skutecznie – na stosie.

Kiedyś nieprzeciętne zdolności i inteligencja mogły być równoznaczne ze stratą życia, dziś – z zatraceniem samego siebie. Dla wielu posiadanie tak niezwykłych umiejętności jak Kim Ung - Yong może wydawać się bardzo atrakcyjne, korzystne, być jednym z marzeń. Należy jednak pamiętać, że takie życie nie jest łatwe, obciążone dodatkowymi problemami (a większość ludzi nie może poradzić sobie z tym, co dostaje w wersji standard). Zawsze osoby inne, genialne, wybitne będą zmuszone nosić brzemię, za które nie są do końca odpowiedzialne. Zawsze pozostaną same ze swoim „pięknym umysłem”. Nie zazdroszczę takim lu-

dziom, a współczuję. I jeśli jest coś, czego mogłabym im życzyć, to żeby wszyscy dali im spokój. Myślę, że tego im najbardziej brakuje. Jeśli ktoś ma zostać doktorem fizyki, to tak się stanie. Niech sam odkryje swoje możliwości. Nie trzeba niczego przyspieszać.

## (Nie) brakuje Ci autorytetu?

Artykuł autorstwa Kingi Langiewicz

Patrząc na dzisiejsze społeczeństwo, zastanawiam się, co tak naprawdę kieruje ludźmi, co jest dla nich ważne. Obserwuję i coraz częściej dochodzę do dość przykrego wniosku, że zwłaszcza młodzi ludzie tracą godne zainteresowania i naśladowania autorytety. Nie mówię oczywiście, że naszym "idolem" ma być słynny naukowiec czy pisarz, ale zastanówmy się, czego szukamy i jakie wartości chcemy sobą reprezentować.

Każdy z nas jest inny. Niektórzy w ogóle nie mają, co więcej – nie szukają autorytetu.

Często na pytanie, kto nim jest, odpowiadamy, że matka. Wydaje mi się jednak, że nie jest to odpowiedź do końca zgodna z prawdą tylko bardziej wygodna. Mówimy tak, bo jest to najbardziej uniwersalna opcja, której wybór można w prosty sposób uzasadnić.

Kolejnym bardzo znanym przykładem "masowego autorytetu" jest Jan Paweł II. To szlachetne z naszej strony, że imponował na swoim życiu i dlatego chcemy być kontynuatorami jego dzieła, ale często zauważam, że to tylko puste myśli ubrane w odpowiednie słowa.

Po co kłamać? Przecież autorytetu szuka się całe życie i jest to prywatna sprawa, w którą nikt nie powinien ingerować.

W wieku dojrzewania każdego człowieka mówi się o autorytacie rówieśników. Zaobserwowano częściową utratę szacunku nastolatków dla rodziców, rodziny i przeniesienie go na bliskich znajomych.

Media i autorzy książek wciąż krytykują młodych właśnie za zmianę ich podejścia do krewnych. Myślę jednak, że normalnym jest, iż każdy człowiek niezależnie od wieku przyjmuje pewne cechy środowiska, w jakim żyje. Wszyscy dążymy do porozumienia i dlatego też dla własnego komfortu należy starannie dobrać grupę znajomych. Taką, byśmy mogli być sobą, czuć się w pełni zaakceptowanym. Naukowcy wymagają od nas, młodzieży, która według nich przechodzi w tym czasie okres tzw. Buntu, zauważania autorytetu w rodzicach. Myślę, jednak że skoro jest to "okres buntu", a nasi rodzice nie są ideałami, posiadają własne wady, na które stajemy się wtedy bardziej wyczuleni, au-

tomatycznie nie mogą być oni naszym autorytetem.

Przejdźmy jednak do tych, którzy autorytety znaleźli. Na szklanym ekranie pojawia się coraz więcej "gwiazd", które stają się idolami młodych ludzi. Wszystko jest w porządku do czasu, gdy nie zaczyna być to fanatyzm. Niektórzy chcą wiedzieć o swoich idolach wszystko, jednocześnie bezkrytycznie do nich podchodząc, co staje się niemalże chore i odbiegające od dobrze rozumianej normalności.

Autorytet należy wybierać ostrożnie, inaczej możemy się bardzo rozczarować. Pamiętajmy też o umiarze i o tym, że sami powinniśmy wartościować ludzkie zamiary i zachowania. Bez własnej, racjonalnej oceny stajemy się wiernymi kopiami innych ludzi, a myślę, że każdy chce być oryginalny.

## Problemy z formą

Artykuł autorstwa Karoliny Sendal

Tożsamość. Niby każdy z nas wie, czym jest. Niby każdy z nas ją ma. Potrafi się określić, zdefiniować. Ale czy na pewno? Czy to jest NASZA tożsamość, czy forma nam narzucona. Czy jesteśmy – czy potrafimy być – po prostu sobą. Czy wiemy, co to w ogóle znaczy? Warto postawić przed sobą takie pytania i przynajmniej spróbować na nie odpowiedzieć. Być może odpowiedź będzie albo niemożliwa, albo – zaskakująca. O tym właśnie traktuje zamieszczone przez nas poniżej opowiadanie. O próbie samodzielnego dojścia do prawdy – do zrozumienia, kim jestem.

### Monolog dziewczynki

#### w Tobie

- Dziewczynka - usłyszano na wizycie kontrolnej u ginekologa. 'Dziewczynka...' - powtórzyła z rozmarzeniem w myślach matka. 'Córeczka tatusia' - nasunęło się mimowolnie ojcu, 'szkoda tylko, że w piłkę razem nie zagramy', a wyraz szkoda zaakcentował za niego niewypowiedziane zdanie, nadając mu wydźwięk żalu i zawiedzionych nadziei. Nie aż tak wielkich, ale jednak.

- A czemu właściwie nie?! - krzyczało w brzuchu rozczarowane dziecko. Nikt jednak go nie słuchał. Kto by tam słuchał dziecka. Dorośli wiedzą lepiej. Dorosłych też kiedyś ktoś wy-

chował i ten ktoś też kiedyś wiedział lepiej. A teraz przyszła kolej na nich. Nareszcie.

Potem przyszedł upragniony czas dialogu matki z samą sobą :

- Będę ją ubierać w piękne kolorowe sukienki. - Tak, będziesz.

- Będzie miała cudowne, długie, kasztanowe i kręcone włosy. A jak nie kręcone, to na pewno długie. - Tak, będzie miała.

- Będzie chodziła w lakierowanych bucikach i różowych rajstopkach w kwiatuszki. - Tak, będzie.

- I będzie grzeczna, będzie słuchać rodziców. Jak to dobrze, że dziewczynka, dziewczynki zawsze są takie grzeczne. - Jak to dobrze...

- A kiedyś wyjdzie za mąż za porządnego człowieka. I stanie w białej pięknej sukni – haftowanej/wyszywanej/koronkowej na ślubnym kobiercu. A mi łzy będą płynąć strumieniami i trudno mi będzie się z nią pożegnać. Ale taka jest kolej rzeczy. - Taka jest.

Potem dialog należało zacząć wprowadzać w życie. I rozpoczęło się kupowanie sukienek różowych, kaftaników różowych, kocyków niebieskich, smoczków różowych, grzechotek różowych z jednoczesnym spoglądaniem w stronę lalek wypielęgowanych w sukniach balowych - lalek blond. Bo dzieci tak szybko rosną.

Urodziło się.

*Urodziłam się w dzień powszedni, poniedziałkowy, zdaje się, że były w ten dzień wypłaty. W szpitalu - jak inne na jednej z ulic któregoś miasta. A razem ze mną na świat przyszło tego dnia kilkadziesiąt, może nawet kilkaset innych dzieci, kilka milionów może. Różnych dzieci. I dzieci blond, i dzieci brunetów, i dzieci białych, i trochę żółtych, zaczerwienionych, i czarnych, i mieszanych. Dzieci chłopczyków i dzieci dziewczynek. Ale znaczenie nazewnictwa i kwalifikacji grupowych dostrzegali tego dnia jedynie sami rodzice.*

*- Po czym mogę rozpoznać swoje dziecko? - zastanawiała się moja matka. - Jest tyse jak inne, różowe jak większość pozostałych, płaczą wszystkie bez wyjątku i wszystkie jak jedno mają niebieskie oczy.*

*- Moje jest mniejsze niż reszta - stwierdziła po chwili namysłu i fakt ten podzielała na nią uspokajająco. Ale i tak owej mniejszej dziewczynce założono na zabią nóżkę opaskę identyfikującą. Na wszelki wypadek.*

*Czy już ta opaska precyzowała moją późniejszą osobowość? Czy już tam napisano, że muszę nosić sukienki i być grzeczną oraz bawić się lalkami o tlenionych blond włosach? Kto wie, może to właśnie wtedy.*

I dorastało dziecko.

A dorastało w foremce rodzaju żeńskiego. Używało poprawnych form językowych zarezerwowanych dla niego z tytułu urodzenia, nosiło sukienki -

niewygodne, bawiło się lalkami - pustymi, którym włosy kołtuniły się niemal od razu. I tylko czasem płakało w poduszkę z różowego sukna, że tata nie zabiera go na mecze.

A czy zastanowił się kiedyś ktoś, kim dziecko chce być ?

Może np. przez jakiś czas chciałoby być po prostu dzieckiem, bez wiszącego nad nim widma niewygodnej na pewno białej sukni. I może wcale nie podobały mu się kręcone włosy, zbyt długie zresztą, bo plątały się tylko przy zabawie i wchodziły nieprzyjemnie w oczy.

- Jestem dziecko ! - krzychało w rodzaju nijakim.

Ale nikt znowu go nie słuchał.

- Jestem królewną uwięzioną w wysokiej wieży.

- O, jaka piękna księżniczka. Pożycz od mamy bucik na wysokim obcasie i korale czerwone i czekaj na niego. Na swojego księcia.

- Ja nie chcę Księcia ! - płakało ono.

A matka się śmiała, przez śmiech żartując, że zobaczymy za dziesięć lat. Ale za dziesięć lat znów patrzyła tylko ona.

*Pewnego dnia przebudziłam się, a pierwszą moją myślą było wspomnienie dnia moich narodzin. Oczywiście, że go nie pamiętam, takich rzeczy się nie pamięta. Nie pamięta ich nikt oprócz dorosłych. Także ja znam ten dzień z opowiadań, opowieści - te były jednak tak plastyczne, tak silnie nacechowane uczuciowym podnieceniem, że trafiające do mojej głowy słowa*

*zaczęły się w niej układać pasmem ruchomych ilustracji - słowa stały się żywymi osobami, namacalnymi przedmiotami i jaskrawym słońcem, które tego dnia dumnie pęczniało pośrodku spokojnego, błękitnego nieba. Tylko we mnie się coś zmieniło. Przestałam być jedynie owym małym nowonarodzonym i nieświadomym stworzeniem. W treści wspomnień byłam już sobą, miałam imię, rozmyślałam nad tym, co widzę, rozglądając się dookoła, potrafiłam wyciągać wnioski. Pomyślałam wtedy, że przecież mogłabym być kimkolwiek. Równie dobrze mogłabym być tą po lewej, tym po prawej albo tamtymi na końcu sali. A oni nawet by się nie zorientowali. Ale Ja to JA, JA JESTEM. To MOJE życie, to JA ISTNIEJĘ, JA...*

*W treść tych rozważań wplatałam własne myśli, kształt swych rąk, to, że potrafię krzycheć bez przerwy przez pięć minut i nawet nie odczuwać suchości w ustach. Tam, na tej Sali, to ja pierwsza dowiadywałam się prawdy o sobie samej, uczyłam swego ciała i niepotrzebny mi był ich świat, świat sztywnie zapakowany w piękny papier i przewiązany wzorowo czerwoną wstążeczką. Ich niezmienny, określony od dawien dawna punkt widzenia. W tamtej chwili mogłam być kimkolwiek.*

*Wypiłem, zjadłem, zrobiłem, poszedłem. Niby tak samo, a brzmi jakoś inaczej. Jakby to było. Jakby co, jakby... tak jakby... się urodzić. Narodzić. Przerodzić. Przeobrazić? A może nic w sobie nie zmieniać. W końcu to jest to samo. Płeć tylko. Czy tylko? Nie dla nich. Czym jest płęć? Kobiety wdychają często: ach, gdyby ten mężczyzna był bardziej romantyczny, kupował mi co dzień pięć-*

*ne kwiaty, potrafił grać na gitarze i gotów by był oddać za mnie życie. Tęsknią za archetypem Romea, człowieka, który istniał tylko w wyobraźni swego twórcy.*

*Mężczyźni pragną spokoju - gdyby tylko nie gadała bez przerwy, nie oczekiwała rzeczy niemożliwych, gwiazdki z nieba. Ach, gdyby tylko polubiła cośrodowe mecze, obyłoby się bez tych kłótni o telewizor. Chcieliby mieć i żonę, i kumpla, dwa w jednym. I to też jest jakiś pomysł na osiągnięcie kompromisu.*

*Cofając się więc w pewnym sensie do poziomu dziecka, ale tylko w pewnym, zacerpnąwszy z tego etapu rodzaj nijaki, spróbowałam pożyć trochę w nowym uniwersalnym ciele, szukając recepty na idealność, a może raczej recepty na wyjście ze stereotypu. Udało mi się przeżyć. Trzy dni.*

*Pierwszego dnia pisałem wiersze o miłości. Były naprawdę piękne - nazwali mnie ciotą. Jak śpiewał pewien amerykański komik - 'uczucia są dla gejów'. O parodio, stajesz się rzeczywistością, los odwdzięcza Ci się swoją ironią. Poszedłem też z dziewczyną do kina, by być jej Romeem, kupiłem jej kwiaty, pozwoliłem wybrać film, wybrała melodramat. Naprawdę wzruszający. Wtedy widzieliśmy się po raz ostatni.*

*Drugiego dnia próbowałem ubrać się schludnie. Jakoś uczesać. Jakoś ogarnąć. Pozbyć włosów pod pachami, choć nie było to łatwe. Gdy szedłem ulicą, ktoś przykleił mi do pleców kartkę z napisem Metro. Metroseksualny. Dziwny, inny. Za czysty, za ładny. Okazało się, że czystość nie jest fajna. To brud jest dziś w cenie męskości. Pot, odciski, zarost - to tworzy jej zapach.*

*Trzeciego dnia byłam już kobietą.*

Fajna byłam, 'równa' - tak mówili o mnie faceci. Grałam w piłkę jak nikt inny, w kręgle też wygrywałam i w bilard. Tylko nie biegałam za dobrze, ale przecież nie można umieć wszystkiego. Uwielbiałam przesiadywanie w klubach, picie piwa i obrzucanie się wyzwiskami. Zabawa była przednia. Miałam mnóstwo, naprawdę mnóstwo kumpli. Ale żadnego faceta, własnego. A mój książkę z bajki obrócił się na pięcie i po prostu odszedł.

Ostatecznie postanowiłam pozostać sobą. A raczej tym, kim się stałam. I wcale, wbrew ogólnemu przekonaniu, nie stworzył mnie Bóg w dniu moich narodzin. Stworzono mnie dopiero wiele lat

później. Stworzyli mnie ludzie. Ich słowa, ich spojrzenia, ich gesty i sukienki różowe.

Nigdy nie żałowałam, że jestem kobietą. Polubiłam nawet buty na wysokich obcasach, choć są niewygodne. Czasem tylko budzę się z tym samym pytaniem, co wtedy: kim byłabym, gdyby nie stereotyp?

Czasem żałuję też, że nie potrafię grać w piłkę i wkurzam się, gdy mówią o mnie - słaba płęć.

Bo płęć wcale nie jest formą. Formę nadaliśmy jej dopiero my sami.

## Być twardzielem... to znaczy?

Artykuł autorstwa Krzysztofa Konstantinowa

Twardziel. Kim, lub czym jest? Dla wielu osób jest to osilek, który idzie przed siebie, nie zważając na różne przeciwności losu - po prostu bezmózgi mutant. Dla innych jest to człowiek walczący o sprawę wyższe, dla osiągnięcia szczytnego celu - człowiek jak człowiek, aczkolwiek obdarzony przez naturę większymi mięśniami. Jednak w tym, jakże błyskotliwym wstępie, chciałbym się skupić na genezie samego zjawiska „twardziela”. To znaczy - skąd się wziął we wszechobecnej popkulturze, jaką gra rolę i czemu taki archetyp jest wciąż popularny.

Wpisałem w nonsensopedii hasło „twardziel” i na pierwszym miejscu wyskakuję mi... zgadnijcie kto... Nie wiecie? Nie, nie Bogusław Linda. Bruce Willis. I myślę, że ten

facet świetnie pasuje do wizerunku twardziela. W sieci ciężko jest znaleźć coś o początkach twardzieli. No, więc.. Ja myślę, że twardziele w popkulturze pojawili się, gdy tylko powstały pierwsze telewizory. Bo przecież ci *macho*, współcześnie zwani *lovejoy'ami*, byli obecni w telewizji od niepaamiętnych czasów, na przestrzeni lat ich wizerunek się zmienił, jednak istnieją oni od zawsze. Współczesne społeczeństwo wymaga umiejętnego faceta, kiedyś wystarczył dżentelmen, który nie dawał sobą pomiatać. Lecz czemu twardziel jest ciągle obecny? Uważam, że po prostu ludzie lubią oglądać, czy czytać o takich osobach, niektórzy, żeby podbudować swoje ego, inni, aby się pośmiać, a reszta nie ma w tym, według mnie, większego celu (zresztą na tym

chyba polega teraz popkultura. Zero przekazu, byleby były jakieś zyski). No. Wszystkie wątpliwości zawarte na końcu pierwszego akapitu zostały rozwiane, więc teraz mogę się zająć głównym tematem tego tekstu. Od razu mówię, że artykuł został stworzony na bazie rozmyślań wielu osób, które pozwoliły, aby ich słowa znalazły się w naszej gazecie.

Najczęstszą odpowiedzią było, że twardziel jest to człowiek silny. Strasznie odkrywczą ta wypowiedź nie jest, ale.. no cóż.. jest prawdziwa. Twardziel chyba każdemu kojarzy się z mówiącą kupą mięśni. Według mnie jest to stereotyp, mimo tego, że pierwszym bohaterem, jaki mi przyszedł do głowy, był Terminator, jak wiadomo odtwórcą tej roli był znany gubernator Kalifornii, który do słabo zbu-



dowanych ludzi nie należy. A więc teoria o siłaczu jest całkowicie uzasadniona.

Bezpośrednio ze stereotypem twardziela łączy się stereotyp, kolokwialnie mówiąc, idioty. W tym miejscu pozwolę sobie przytoczyć słowa jednej z moich koleżanek:

„Twardziel to ktoś, kto nie ma mózgu. To ktoś, kto udaje. Nie ma prawdziwych twardzieli.

Twardziela można tylko udawać, zgrywać”. Jakkolwiek te słowa są dla wielu osób okrutne, to i tak nie da się ukryć, że po części jest to prawda. Bo czy ktoś w pełni zdrowy psychicznie pcha się samotnie pomiędzy zastępy wrogich mu ludzi? Czy ktoś posiadający wszystkie klepki dałby się wykorzystywać w niecny sposób? Idealnym przykładem bezmózgiego mutanta jest według mojej koleżanki Arni z „13 Posterunku”.

Hmm... To ten, którego grał Piotr Zelt? Tak. „Ktoś, kto nie ma mózgu”? Zdecydowanie tak.

Następna z koncepcji „twardziela” została udowodniona.

Z pospolitego głupka możemy przejść od razu do patrioty, bo trafiały się i takie wypowiedzi. Niektórzy uważają, że twardziel to osoba walcząca o cele wyższe, osoba kochająca swój kraj i walcząca za niego. Osoba, która zrobi

wszystko dla dobra swojego kraju, osoba, która odda życie, aby ludziom żyło się lepiej. I teraz, podpinając pod tę teorię takiego Rambo, Chucka Norrisa, czy innego Terminatora, wychodzi nam człowiek świadomy swojej przewagi fizycznej i do tego umiejący ją wykorzystać w dobrym celu. Ktoś by kiedyś pomyślał, że „twardziel” może być taką osobą? Nie sądzę. Pomimo te-



go, teoria o patriotcie jest jak najbardziej słuszna.

Innym wyjaśnieniem słowa „twardziel” jest osoba, która tylko z wierzchu jest nieczuła, zimna, pozbawiona skrupułów, a w środku ukrywa ciekawą osobowość i jeszcze kilka innych przyjemnych dla otoczenia cech. Takich wypowiedzi przeczytałem co

prawda mało, ale ja sam także mogę się pod tym podpisać. Przykładem jest Roland z cyklu pt. „Mroczna Wieża” autorstwa Stephen Kinga.

Główny bohater jest rewolwerowcem, przemierzającym liczne ziemie, dążącym do wyznaczonego sobie celu po trupach. Jednak, gdy przychodzi mu kontynuować swoją podróż wraz z innymi, przeznaczonymi mu ludźmi, pokazuje

swoją człowieczą naturę. Można powiedzieć, że zaprzyjaźnia się ze swoimi towarzyszami, otwiera się przed nimi. Pokazanie swojej dobrej strony nie wyklucza bezwzględności i uporu w dążeniu do celu, a więc Roland dalej jest „twardzielem”. Tak więc istnieją i takie osoby.

Skoro już jesteśmy przy Dzikim Zachodzie i rewolwerowcach, to chyba nie da się nie wspomnieć o Clincie Eastwoodzie. Jego role w takich filmach, jak np.:

„Dobry, zły i brzydki”, czy „Niesamowity jeździec” pokazują, że twardziel wcale nie musi być napaakowanym dressem, czy bezmózgim robotem. Tutaj twardzielem jest człowiek silny psychicznie, który przeciwnościom losu stawia czoło bardziej dzięki charakterowi niż swoim możliwościom fizycznym.

Teraz będzie z trochę innej beczki. James Bond. Czy można go nazwać twardzielem? Myślę, że tak. We wstępie wspomniałem o dżentelmenach i postać Jamesa Bonda jest właśnie takim typem twardziela. Miły dla otoczenia, szarmancki, kulturalny, ale gdy ktoś jest do niego wrogo nastawiony, bierze wszystko w swoje ręce i stara się rozwiązać problem na swój sposób. Taki wizerunek twardziela przetrwał, bo kiedy wyreżyserowano pierwszy film o jego przygodach, to wtedy tak właśnie wyglądał twardziel – był męski, przystojny, ale bynajmniej nie rzucający się w

oczy. Potem, jako że James Bond zaistniał w popkulturze jako właśnie taka osoba, nie zmieniono go na coś „Rambopodobnego”.

Tutaj moja wyprawa po tym temacie chyba się kończy, jednak chcę spuentować artykuł jakimś mocnym akcentem. Pisząc ten tekst doszedłem do dziwnych, aczkolwiek chyba trochę za daleko idących wniosków. Być może twardzieli nie ma? Być może takie osoby nie istnieją? Bo zobaczcie, twardzielem można nazwać zarówno patriotę, walczącego o cele wyższe, jak i bezmózga, który

prze przed siebie, bo tak mu kazano. Teorie, tak jakby wykluczające się, ale i jednego i drugiego nazywamy twardzielem. Dlatego ja mówię, że skoro twardzielem może być każdy, to nie może być nim nikt! Jednak sorka sprowadziła mnie do parteru, mówiąc, że pewne cechy muszą jednak być spełnione. Zgadza się z tym i niestety, moja niecna teoria została zniszczona w czasie adekwatnym do jednego mrugnięcia okiem...

## Kryzys także w muzyce?

Artykuł autorstwa Kamila Zientarskiego

Ostatnimi czasy bardzo dużo mówi się o kryzysie, o tym, z jakimi trudnościami walczy z nim wiele gospodarek świata, to wszystko rozdmuchiwane przez media nie daje nam spokoju od ponad roku. Chciałbym więc zaprosić do krainy, której kryzys nie osiągnął, czyli do polskiego oraz zagranicznego świata muzycznego. Przez ostatnich 12 miesięcy przybyło bowiem wiele ciekawych rockowych płyt, zdarzają się również prawdziwe muzyczne perełki, albumy, które zapamiętamy na długo. Niestety nie sposób opisać ich wszystkich, wybrałem więc całkowicie subiektywną listę najważniejszych 10 albumów 2009 r. W tym numerze pierwsze pięć, a już za miesiąc druga część. Zapraszam do lektury, no i do słuchania oczywiście.

### Alice In Chains – Black Gives Way To Blue

Trzeba przyznać, że chyba niewielu ludzi przypuszczało, że po śmierci pierwszego wokalisty Alice, Layne’a Staleya, do której doszło w 2002, zespół nagra jeszcze jakiś materiał. Co prawda w 2006 zespół przyjął nowego wokalistę, Williama DuValla, i zapowiedział trasę koncertową po całym świecie, ale ukazanie się nowego albumu grupy było, przynajmniej dla mnie, sporą niespodzianką. No ale do rzeczy. Otóż wielkim sukcesem grupy jest zachowanie charakterystycznego stylu mimo braku charyzmatycznego wokalisty i współzałożyciela grupy. Mamy ten sam niepodrabialny dwugłos, podobne, lecz nieco unowocześnione brzmienie, wszystko zdecydowanie w

grunge’owym klimacie. W niektórych utworach można wręcz nie zauważyć braku byłego frontmana (zasługa drugiego wokalisty, Jerry’ego Cantrella). Cały materiał jest na wysokim poziomie, spośród utworów wyróżniają się zaś na pewno drapieżny „Check My Brain”, piękny i nastrojowy „When The Sun Rose Again” oraz piękna ballada z udziałem Eltona Johna, tytułowa „Black Gives To Blue”, poświęcona pamięci Layne’a Staleya. Naprawdę warto sięgnąć po ten krążek, muzyka zespołu wpływa na odbiorcę niemal tak mocno, jak przed kilkunastoma laty.

### Arctic Monkeys - Humbug

Dla mnie - zdecydowanie najbardziej oczekiwana płyta tego roku. Apetyt po dwóch znakomitych płytach i wizycie w Polsce ogromny, no i wielka tajemnica, co szykują panowie z Sheffield na Rancho De la Luna w Kalifornii, gdzie zabrał ich słynny już Josh Homme (znany głównie z Queens of the Stone Age), który jest producentem płyty. Zespół wykazał się odwagą i zerwał z przebojowym, indie-rockowym graniem na rzecz psychodeliczno-stonerowych klimatów, co jest niewątpliwie zasługą/winą Homme'a. Zasługą dlatego, że dzięki niemu muzyka zespołu wzbogaciła się, nabrała zupełnie innego, ciekawego klimatu, a zespół stworzył się na nowe brzmienia. Czuć, że panowie dorośli i że mogą być naprawdę wielkim zespołem, niekojarzonym wyłącznie z gitarowym graniem dla nastolatków. Warto zwrócić uwagę na wokalistę, Alexa Turnera, który na tym albumie pokazuje, że jest naprawdę dojrzałym i świadomym swoich możliwości artystą. Utworem, który jest dla mnie absolutnym majstersztykiem, to „Pretty Visitors”, z brudnym, przesterowanym, elektryzującym brzmieniem i z „tym czymś”, czego nie potrafię opisać. Na wysokim poziomie są także otwierające album „My Propeller” oraz singlowe „Crying Lightning”. Trochę jednak za dużo na płycie spokojnych i wolnych kawałków, jak np. nudnawy „Cornerstone”. Mimo że wiele osób jest niezadowolonych z nowego kierunku, w którym

udali się Arctic Monkeys, a mnie samemu również nieco brakuje tej dawnej przebojowości zespołu, za tę, bardziej wymagającą i ambitniejszą od poprzednich, płytę trzeba jednak zespół pochwalić.

### Happysad - Mów mi dobrze

Czas na coś polskiego. Nie wybrałem jednak tego albumu ze względu na wartość muzyczną, lecz z powodu dużej popularności zespołu. Na swojej czwartej płycie grupa, powiększona o grającego na trąbce Daniela Pomorskiego, straciła swój i tak skromny „pazur” i nagrała materiał dość miąłki i przesłodzony. Z jednym wyjątkiem, ale o tym za chwilę. Ogólnie płyta broni się jeszcze przebojowością, jak w tytułowym „Mów mi dobrze” (muszę wspomnieć o straszliwie tandetnym, weselnym teledysku - koszmar), czy w piosence „Kostuchna”. Niestety, tekściarstwo Kawalca często wywołuje grymas zażenowania, np. „jak smród po gaciach lata za nami strach”, „kostucha-czarnucha”, czy w przeraźliwie słodkim i tklwym „Taką wodą być”. Jest na tej płycie jednak jeden, naprawdę dobry utwór, napisany poza sesją do „Mów mi Dobrze”, grany przez zespół na koncertach już od roku, mianowicie „Nie ma Nieba”. Kawałek w zupełnie innym klimacie niż całość płyty, dość mocny, gitarowy, z ciekawym, nihilistycznym tekstem, jakże kontrastującym (na szczęście!) z pozostałymi, mówiącymi w kółko o miłości. Poza tą perełką warto wyróżnić, pomimo tekstu, piosenkę tytułową,

„Pętlę”, urokliwe i folkowe „W piwnicy u dziadka”, no i zabawne „My się nie chcemy bić”. Myślę, że album spodoba się głównie kobiecej części słuchaczy, jak również młodzieży gimnazjalnej.

### Mastodon - Crack the Skye

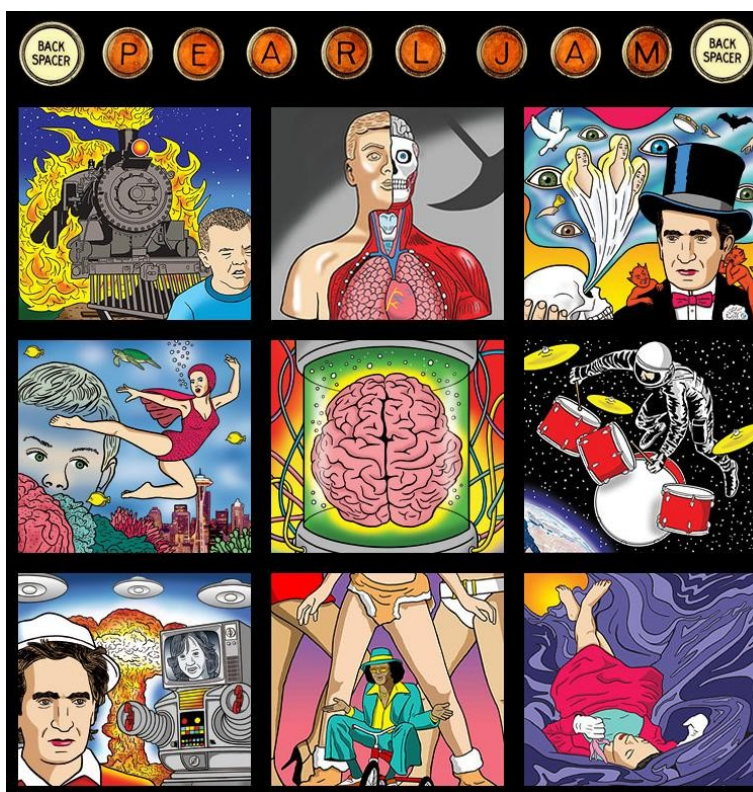
Teraz coś z zupełnie innej beczki. Czwarta płyta amerykańskiego progresywno-metalowego zespołu to doskonałe, epickie dzieło, pozbawione dawnej brutalności grania, za to z niebanalnymi melodiami i wyjątkowym klimatem. Album otwiera słusznie wybrany singiel „Oblivion”, utwór wprost ultrachwytlwy, który przez wiele dni brzmiał w mojej głowie. W następnym kawałku, „Divinations”, mamy momentami agresywny, krzyczący wokół i pokręcone partie gitar (takie granie jest zresztą charakterystyczne dla całego albumu). W „Quintessence” znajdziemy przedziwny, psychodeliczny gitarowy motyw i porywy potężnego i gniewnego śpiewu („Let it go”), kolejny jest składający się z czterech części utwór „The Czar”, spokojniejszy i ociążały, z podzieloną na części partią wokalną (zespół nie ma jednego wokalisty, śpiewają w różnym stopniu wszyscy muzycy) i chórkami. Po niezłym, aczkolwiek niewyróżniającym się niczym szczególnie „Ghost of Karelia”, z głośników wybrzmiewa utwór tytułowy - „Crack The Skye” (godna uwagi jest dwuznaczność tytułu - tekst jest bowiem napisany w hołdzie dla siostry perkusisty zespołu, Branna Dailora (dziewczyna miała na imię Skye, popęlniła

samobójstwo w wieku 14 lat). Znajdziemy w nim partie klawiszowe, pełen przejęcia wokół i przygnębiający nastrój – piosenka naprawdę godna poświęcenia ukochanej osobie. Album zamyka długi, 13-minutowy „The Lost Baron”, ze zmianami tempa, solówkami i niesamowitą grą perkusisty (nie mam pojęcia, w jaki sposób mógłby ją powtórzyć na żywo). Więc jeżeli chcecie przeżyć muzyczną podróż w eteryczną, oderwaną od rzeczywistości krainę, już wiecie, kto może was tam zabrać.

### Pearl Jam - Backspacer

Moim zdaniem, Pearl Jam nagrał płytę, którą można podzielić na dwie części. Z jednej strony, głównie na początku krążka, mamy muzykę niezwykle wesołą, pełną życia i energii, szybką i rock'n'rollową, piosenki takie jak radosne „Got Some”, „yeah-yeah'owe” „The Fixer”, kapitalnie pędzący „Supersonic” czy bezczelnie dziarski „Johnny Gitar”. Przy tych kawałkach ciężko spokojnie usiedzieć, nie sposób nie machać głową (tudzież jakimi kto woli partiami ciała) w rytm muzyki. To ta lepsza część całości. Druga jest wolniejsza i spokojniejsza, no i trzeba to powiedzieć – trochę popowa. W tym przypadku nie traktuję tego jako zarzut, gdyż piosenek tych słucha się z przyjemnością. Jest coś magicznego w tym rozmarzonym śpiewie Eddiego Veddera, coś kojącego i wywołującego uśmiech na twarzy. Wyróżnia się z całości naprawdę ładna, akustyczna balladka „Just Breath”, fajne jest też mówiące o surfingu, czyli ukocha-

nym hobby wokalisty „Amongst the Waves”. Trochę za dużo w tym słodczy, no ale za taką dawkę pozytywnej energii i optymizmu jest to niewielka cena. Niestety, płyta jest rekordowo, jak na Pearl Jam, krótka – trwa niecałe 37 minut. Czy warto poświęcić te pół godziny na Backspacera? Absolutnie tak!



Druga część artykułu i kolejne 5 recenzji najlepszych płyt minionego roku w następnym numerze gazetki.

# Sport – przegrani i wygrani roku 2009

Artykuł autorstwa Tomasza Firsta

Za nami kolejny rok, jak zwykle w wielkiej piłce działo się wiele: byli zarówno zwycięzcy, jak i przegrani. Kto 2009 rok będzie wspominał dobrze, a kto będzie chciał o nim jak najszybciej zapomnieć? Zacznijmy od tych drugich:

## 1. Liverpool i Rafa Benitez

Jak co roku The Reds ostrzyli sobie zęby na mistrzostwo kraju, skończyło się na drugim miejscu i przekonaniu, że za rok się uda. Liverpool w rok 2009 wchodził pełen optymizmu, trener Rafa Benitez był przekonany, że rywalie pogubią punkty i drużyna z Anfield Road zdobędzie pierwszy od 20 lat tytuł. Jednak to oni zaczęli gubić punkty ze słabymi rywalami i Benitez zaczął szukać winnych wszędzie, tylko nie w klubie. Przez kilka miesięcy toczył wojnę słowną z sir Alexem Fergusonem, narzekał, że nie ma pieniędzy, a prawda jest taka, że Hiszpan dokonywał nietrafionych transferów, z Robbiem Keanem na czele, którego sprzedał pół roku po tym, jak go kupił. W tym sezonie Liverpool miał powalczyć o mistrzostwo ponownie, jednak już teraz nikt na Anfield nie wierzy w kolejny tytuł, a Benitez obiecał jedynie miejsce w pierwszej czwórce, co budzi uśmiech politowania w całej Anglii i nie tylko. Ponadto The Reds w fatalnym stylu odpadli z Ligi Mistrzów.

## 2. Thierry Henry

Francuz miniony sezon w Barcelonie będzie wspominał dobrze, wygrał wszystko, od lat słynął z gry fair play i chętnie brał udział w kampaniach dobroczynnych. Jednak jego wizerunek jako piłkarza przykładnego legł w gruzach w jednej chwili. Nietrudno się domyślić, że chodzi o pamiętny mecz Francja-Irlandia, w którym Henry zagrał ręką, co walnie przyczyniło się do tego, że to trójcolorowi w przyszłym roku zagrają na Mistrzostwach Świata w RPA. Po tym spotkaniu na Henry'ego, który próbował (bezsukcesywnie) zrzucić winę na sędziego, spadła fala krytyki. Wielce prawdopodobne, że po zakończeniu kariery to właśnie to zagranie będzie najczęściej wypominane, zamiast wspaniałych akcji.

## 3. Polska piłka, PZPN i Lato

Nie był to dobry rok dla polskiego futbolu, niemal pod każdym względem. Zawiodła reprezentacja, wyprzedzając w grupie eliminacyjnej do MŚ jedynie San Marino. Rozczarowały także kluby, Wisła, która miała w końcu zagrać w Lidze Mistrzów nie dała rady Levadii Tallin, o której wcześniej mało kto słyszał. Ponadto to, co się dzieje w PZPN-ie, też nie będzie dobrze wspomniane. Konflikt z kibicami, puste trybuny na meczach, podwyższanie sobie pensji zamiast inwestowania w futbol. To wszystko przyczyniło się do pogorszenia i tak słabego

wizerunku naszego związku piłkarskiego z Grzegorzem Latą na czele, który okazuje się jeszcze gorszym prezesem od swojego poprzednika, a to naprawdę nie jest łatwy wyczyn.

## 4. Sędziowie

Ich nie mogło tutaj zabraknąć, przynajmniej niektórych. No bo jak pominąć sędziego prowadzącego wspomniany już mecz Francja-Irlandia? Drugim największym negatywnym wydarzeniem związanym z sędziowaniem był półfinałowy mecz Ligi Mistrzów Chelsea-Barcelona, gdzie arbiter nie dopatrzył się ewidentnych karnych dla angielskiego zespołu. O błędach sędziowskich można pisać bez końca, jednak te dwa przypadki będą największy niesmak.

## 5. Sepp Blatter

Szwajcarski przewodniczący FIFA wciąż uważa za większy problem zdejmowanie koszulek przez piłkarzy (bo kibice mogą się zgorszyć) niż błędy sędziów wpływające na wynik. Wciąż nie chce się zgodzić na zwiększenie liczby arbitrow prowadzących mecz i na analizę powtórki video w przypadku kontrowersyjnych sytuacji. A ile osób w tym roku cierpiało z tak nedorzeczne-

go powodu jak zdjęcie koszulki? Zgaduję, że żadna. A ile drużyn zostało skrzywdzonych przez błędy sędziego, który ma chwilę na podjęcie decyzji bez możliwości upewnienia się? O wiele więcej

To by było na tyle, jeśli chodzi o przegranych. A kto będzie liczył, że rok 2010 będzie równie dobry co miniony?

### 1. Barcelona i Pep Guardiola

Nie można pominąć Barcy, która wygrała po prostu wszystko. Przez cały rok piłkarze zachwycaли swoją grą i już zostali okrzyknięci najlepszą drużyną wszechczasów, jednak czy są w stanie powtórzyć ten sukces i udowodnić, że słowa te nie są przesadzone? Zobaczmy wkrótce. Trener Katalończyków jako nowicjusz w trenerskim fachu utarł nosa bardziej doświadczonym kolegom po fachu, stworzył świetny zespół, którego gracze w podsumowaniu roku byli zaliczani do najlepszej jedenastki roku i zdobyli kilka prestiżowych nagród indywidualnych.

### 2. Edwin van der Sar

Holender na początku tego roku dokonał niecodziennego wyczynu – nie dał się pokonać łącznie przez 1311 minut, co daje mu szóste miejsce pod tym względem, jednak pozostałe wyniki mają już swoje lata, a jak wiadomo we współczesnej piłce coraz ciężiej o taką serię. Ponadto mimo swojego wieku wciąż był w stanie grać regularnie na najwyższym poziomie.

Jednak już drugie półrocze nie było dla niego tak dobre. Z powodu dwóch ciężkich kontuzji rozegrał ledwie 7 spotkań w barwach swojego klubu, a co gorsza, kilka dni temu wykryto u jego żony ciężką chorobę. Te dwa zdarzenia mogą doprowadzić do tego, że Holender wkrótce zakończy karierę.

### 3. Reprezentacja USA

W Pucharze Konfederacji przepowiadano im, że zakończą turniej już w fazie grupowej, jednak tam wyprzedzili Mistrzów Świata – Włochów i w półfinale los skojarzył ich z Hiszpanami, Mistrzami Europy. Tam też nie byli faworytami, ale pokonali Hiszpanów, którzy na dzień dzisiejszy są jedną z najlepszych reprezentacji na świecie. W finale nie sprostali Brazylii, choć napędzili im dużo strachu prowadząc aż do 74. minuty. Po tym turnieju widać, że także w soccera Stany Zjednoczone mają silną reprezentację.

### 4. Reprezentacja Słowenii

W grupie eliminacyjnej nie byli faworytami, mimo to zdołali zająć drugie miejsce, wyprzedzając Polaków i Czechów, następnie w barażach trafili na silną Rosję, pierwszy mecz przegrali, ale w dwumeczu okazali się lepsi i zasłużenie jadą na przyszłoroczny mundial.

## Wojciech Jagielski – kim jest?

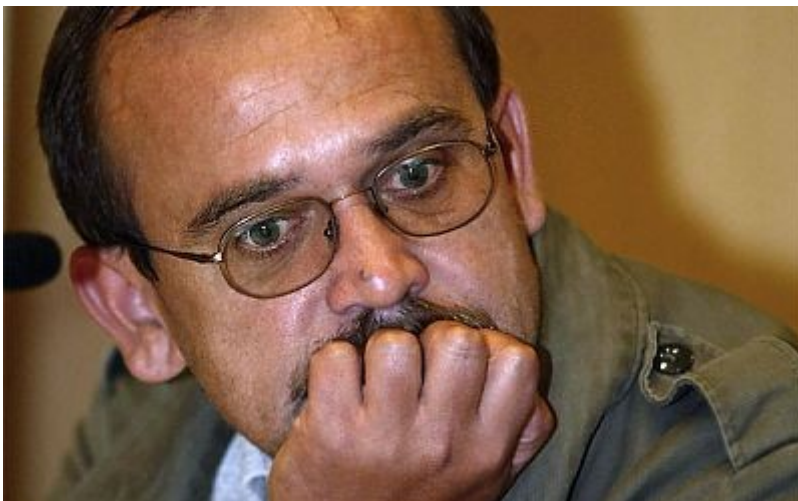
Artykuł autorstwa Ilony Kamińskiej

Osobiście uważam reportaż za najciekawszy z gatunków literackich, chociaż sędzę, iż nie jest tak popularny jak teksty publicystyczne, powieści czy codzienne gazety. Reportaż cechują cztery główne wyznaczniki: autentyzm, akcyjność, aktualność i aktywna rola reportera. Reportażysta jest osobą niezwykle ważną, gdyż od niego zależy wybrany krąg tematyczny, to, w jaki sposób i o czym będzie pisał. W moim rozumieniu reportaż jest dziedziną najbardziej żywą i – co najważniejsze – najbliższą człowiekowi. Człowiekowi zwykłemu, przeciętnemu, a więc – takiemu jak my, jak ja.

Jednym z twórców współczesnego reportażu jest Wojciech Jagielski. Jego książki takie jak „Nocni wędrowcy” czy „Modlitwa o deszcz” poruszają tematykę dotyczącą Afryki – jej problemów społecznych, politycznych. Oprócz tych zjawisk możemy dostrzec w jego dziełach subiektywny obraz człowieka patrzącego przede wszystkim na przemiany zachodzące w społeczeństwie. Najważniejsi w reportażach Jagielskiego są ludzie – ich zachowania, problemy, tradycje kulturowe. Autor nie pozwala zapomnieć czytelnikowi, iż pod pojęciem wojen, rewolucji kryje

się wartość ludzkiego życia. Jagielski ukazuje te jednostkowe losy, aby lepiej zobrazować ból i cierpienie człowieka.

Sam autor od wiosny 1992 roku jest stałym obserwatorem wydarzeń w Afganistanie. Jego książki są więc owocem kilkuletnich podróży w niezwykle ważnych dla tych rejonów epokach – rozpadania się imperium rosyjskiego i powstawania nowych, niepodległych państw.



Książką, która poruszyła mnie najbardziej, są „Nocni wędrowcy” – autor opisuje tu dzieci z Ugandy, które od najmłodszych lat muszą walczyć o życie. Bohaterami reportażu są dzieci porwane przez partyzantów i zmuszane do okrutnych rzeczy. Zabójstwa, mordy są im dobrze znane, bo jak mówi Nora, ich opiekunka w obozie uchodźców: „Najlepiej się do tego nadają te najmłodsze. – Osiem, dziewięć lat, nie starsze. Takie są już wystarczająco samodzielne i silne, żeby zrozumieć, co się im każe. A jednocześnie za małe, by rozróżnić dobro i zło”.

W Europie dzieci kojarzą się z osobami bezbronnymi, niedotkniętymi problemami świata, tutaj natomiast widzimy tragedie istot, które, naśladowując dorosłych, bezwzględnie mordują. Jagielski, pomimo tego, iż stara się być jak najbardziej obiektywny, nie potrafi zrozumieć sposobu myślenia tych dzieci, bo jest tak odmienny od naszych, europejskich wyobrażeń. W Ugandzie zaś dzieci różnią się od dorosłych tylko

wzrostem. Porywane, zmuszane do bratobójstwa, kaniibalizmu, gwałcone muszą o wiele szybciej dorastać, ale też nie po to, by normalnie funkcjonować, ale aby przetrwać. Sądzę, że przyczyn możemy się doszukiwać nie tylko we władzy, dyktaturze i terrorze – owszem jest ona znacząca,

ale w samych dorosłych, którzy przechodzą obok tego obojętnie. Czasami nie reagują ze strachu i bezsilności.

Zaprezentowałam tylko jeden z przykładów tego, o czym pisze Jagielski. Tematów, które porusza, jest znacznie więcej. W jego książkach można znaleźć odpowiedź nie tylko na pytania dotyczące przebiegu wojny, ale również przyczyn, przez które wybuchają. Myślę, że osobom podziwiającym twórczość Kapuścińskiego z pewnością spodoba się również postać Jagielskiego, gdyż obie

łączy podobna tematyka i postawa wobec ludzkiej krzywdy.

Sam gatunek reportażu jest w mojej opinii niezwykle fascynujący, ponieważ zadaniem reportera jest dążenie do prawdy – nawet tej najboleśniejszej. W świecie pełnym fałszu, zakłamania zapominamy często o

innych ludziach, o tym, że ktoś na świecie jest w gorszej sytuacji niż my. Jagielski należy do grona tych reportażystów, którzy z pewnością nam o tym przypominają. Kończąc chciałybym przywołać słowa samego autora, który stwierdził, że: „My jesteśmy wychowani na

Sienkiewicz i wszystko co nie przypomina jego książek nam nie odpowiada. Lubimy mieć swojego Kalego, dobrego Stasia, Nel...” Każdy z nas – zdaniem Jagielskiego – powinien pamiętać, że Afryka to nie tylko piękne wzgórza, ale też ludzie potrzebujący pomocy

## Skromny zarozumialec

Artykuł autorstwa Michała Markiewicza

Sam o sobie mówi, że jest reporterem – detektywem. Uważa, że reporter ma trudniejsze zadanie niż pisarz fikcji, bo nie może nic zmyślić ani dopowiedzieć do swojej historii. Uważa, że kieruje się prawdą i jego teksty oddają obraz rzeczywistości na tyle dokładnie, na ile to tylko możliwe. Mariusz Szczygieł nie grzeszy skromnością, ciężko też powiedzieć, że jest zadufany w sobie czy nadęty. Zna swoją wartość. Według niego reporter, mając prawdę jako materiał literacki, musi żonglować nią tak, aby stworzyć ładną, a najlepiej piękną – jak sam mówi – historię. To jest właśnie wyzwanie, będące motorem jego reporterskiej pracy. Podkreśla, że kiedy reporter zbiera materiał, powinien być osobą skromną, skoncentrowaną. Powinien być jednym wielkim uchem. To bohater liczy się najbardziej, dlatego należy słuchać tego, co ma do powiedzenia.

Swoją ostatnią książkę, „Gottland”, poświęca całkowicie historycznym ciekawostkom związanym z Czechami. Opowiada o ikonach czeskiej świa-

domości zbiorowej, w Polsce praktycznie nieznanych, może za wyjątkiem Heleny Vondráčkové. Szczygieł pisze o ludziach, ich zmaganiach z trudną codziennością. Ciężko się właściwie do czegoś przyczepić. Tematy ciekawe, książka mądra, ale dla mnie momentami nudna, zbyt nudna. Ciekawe reportaże autor przeplata z tymi mniej interesującymi. Jego najlepszy tekst dotyczy Tomáša Baťy – człowieka sukcesu, potwornie niehumanistycznego a jednak wyrozumiałego. Bohater pełen sprzeczności. Szczygieł opisuje jego drogę od pucybuta do milionera i to całkiem dosłownie. Bata to

czeski przemysłowiec z branży obuwniczej. Początek przyzwolony, ale rzadko powraca do poziomu prezentowanego w pierwszym reportażu. Następne teksty dla mnie są już bardziej bezbarwne. Opowieść o Lidii Baarovej, Marcie Kubisovej czy pomniku Stalina są ciekawe, ale nic więcej.

Czesi z pewnością cenią książkę Szczygła bardziej od Polaków. Gdyby reporter napisał podobnie o polskich walczakach i bohaterach, potrafiłbym może lepiej zrozumieć i wczuć się w opowieść. Swoją drogą, mam nadzieję, że Szczygieł napisze coś podobnego o Pola-





kach. „Gottland” jest książką nietypowo historyczną.

Szczygiel przedstawia bardzo złożony obraz Czechosłowacji. Postacie, które opisuje w swoich reportażach, kierowały się różnymi zasadami, miały odmienne poglądy na temat wielu spraw. Teksty poświęca więc różnym ludziom – symbolom życia w nadziei, hipokryzji, walki o życie, o swoje człowieczeństwo, o siebie samego – opowiada o mentalności różnych ludzi (przeważnie dość znaczących), różnych toków myślenia, o zmianach na prze-

strzeni lat. Człowiek, bohater reportażu, jest dla autora najważniejszy. Czytając „Gottland”, można odnieść wrażenie, że Szczygiel bardzo przywiązuje się do „swoich” bohaterów. Nietypowość tej książki polega na tym, że Szczygiel historii jednostkowe sytuuje w kontekście przemian historycznych Czech. Nie jest to książka historyczna, człowiek natomiast jest „tylko” jednym z głównych bohaterów. Pół na pół.

Konsekwencja i rzetelność to dwie główne i charakte-

rystyczne cechy reportera. Szczygiel swoim bohaterom towarzyszy do końca ich życia, często wspominając i przytaczając ciekawostki na ich temat. Epilog wielu z jego reportaży stanowią często informacje o dalszych losach bohaterów. Szczygiel swoje teksty zawsze doprowadza do końca. Gdybym miał wytknąć jego wadę, miałbym problem z jej znalezieniem. Rozkładając go na czynniki pierwsze, wszystko wydaje się perfekcyjne. Ideałem natomiast nie jest na pewno. Nie wiem, co robi nie tak, ale do mnie jego przekaz nie trafia.

## Burton i reszta, czyli czarna lista Akademii

Artykuł autorstwa J.M. Drzewaszewska

Co łączy Danny’ego Elfmana, Johnny’ego Depp’a, Tim’a Burtona i Helenę Bonham-Carter? Złośliwi twierdzą, że członkostwo w elitarnym, hollywoodzkim kole wzajemnej adoracji. Ja zaś uważam, że ich wspólnym mianownikiem, obok stworzonych razem filmów, jest chłodny dystans Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej.

Obecne czasy nie są łaskawe dla kinematografii. Żyjemy w dobie niepotrzebnych sequeli i prequeli, wymuszonych spin-off’ów i stale powielających się schematów. Każda porządnie zrealizowana i w jakikolwiek sposób odbiegająca od utartych zasad produkcja znajduje uznanie.

W obliczu takiego obrazu współczesnego kina, twórczość Tima Burtona zdaje się być le-

kiem na całe zło. Jego absolutnie niepowtarzalne, nasycone surrealistycznym humorem wizje, mimo że często balansują na granicy kiczu, niemal każdorazowo godzą opinie dwóch przeciwnych obozów – rozrastającej się rzeszy fanów twórczości reżysera i krytyków. Kolejne jego dzieła zyskują coraz większą popularność. Któż bowiem nie zna „Soku z Żuka”, „Edwarda Nożycorekiego”, czy Burtonowych Batmanów?

Przez lata doskonalenia warsztatu reżyserskiego i scenopisarskiego, ten ekscentryczny artysta opanował sztukę zaskakiwania do perfekcji. Karierę zaczął jako animator Disney’a i do tej pory animacje, do których przyłożył rękę („Gnijąca Panna Młoda”, „9”, „Miasteczko Halloween”,

„Koralina”), są dopieszczone muzycznie, montażowo i w każdej innej kategorii. To samo dotyczy się filmów aktorskich, wyróżniających się także zapierającą dech w piersiach scenografią i kostiumami. Ani oryginalność, ani magiczność bijąca od dzieł Burtona nie zdołała przekonać Amerykańskiej Akademii do uhonorowania ich tą jakże prestiżową nagrodą, jaką jest Oscar.

Burton, perfekcjonista w każdym calu, poświęca szczególną uwagę doborowi aktorów. To właśnie role w jego filmach otworzyły Johnny’emu Depp’owi drogę do hollywoodzkiego szczytu. Depp to bezdyskusyjnie jeden z najlepszych współczesnych aktorów. Znany ze starannego przygotowywania się do każdej roli i przechodzenia z niebywałą łatwością od romantycznego grajka

(„Czekolada”) do detektywa-miłośnika opium, rozwiązującego sprawę najsłynniejszego seryjnego mordercy w historii („From Hell”). Do jego najlepszych kreacji należą James Barrie („Marzyciel”), Raoul Duke („Las Vegas Parano”), Edward Nożycoręki i oczywiście Jack Sparrow, którego chyba nikomu nie trzeba przedstawiać. Łatwość, z jaką Depp odnajduje się w każdej roli, bez względu na ramy czasowe akcji filmu, w którym przyszło mu grać i skrajnie różne charaktery postaci, w które dotychczas wcielał się po mistrzowsku, to najlepsze świadectwo jego godnego uznania talentu aktorskiego. Johnny Depp w ciągu pięciu lat był trzykrotnie nominowany do Oscara i trzykrotnie wielu ludziom, którzy uważali go za „pewniaka”, po ogłoszeniu wyników zrzędnęli miny.

W „Sweeney Todd – Demoniczny Golibroda z Fleet Street” (reż. Tim Burton), za którego był nominowany w 2008 roku, towarzyszyła mu Helena Bonham-Carter. Ta obdarzona charakterystyczną urodą Brytyjka najlepiej znana jest z roli Bellatrix Lestrange, śmierciożerczyni z filmów o Harrym Potterze. Zarówno pani Lovett, jak i Bella, zostały skomentowane przez internautów jako „kawał dobrego aktorstwa”, ciepło przyjęte przez publiczność i... zignorowane przez Akademię.

Danny Elfman, z którym Tim

Burton często współpracuje, to dobrze znany i ceniony twórca muzyki filmowej. Motywy muzyczne z produkcji takich jak „Miasteczko Halloween”, „Mission Impossible”, czy „Faceci w Czerni” są powszechnie rozpoznawane, a każdy tytuł, przy którego produkcji Elfman maczał palce, zyskuje na wartości dzięki jego muzyce. Dlaczego więc żadna z trzech nominacji nie zaowocowała statuetką?

Ta niesamowita czwórka, nawet jeśli wzięta pod uwagę

nieszampowy, ekscentryczny i utalentowany kwartet. Miejmy nadzieję, że właśnie ta wierność i zapelnione sale kinowe zapewnią im w końcu zasłużone statuetki.



*Tim Burton, Helena Bonham-Carter, Johnny Depp*

w nominacjach, stale ma problem z pokonaniem dystansu kilku centymetrów, które dzielą ich od zwycięzców w Oscarowych wyścigach. Decyzje Akademii niejednokrotnie bywały kontrowersyjne i zaskakujące w negatywny sposób. Fakt, że jury nie ma w zwyczaju ich uzasadniania, prowadzi do podejrzeń o tendencyjność i braku obiektywizmu wśród sędziów. Należy jednak pamiętać, że najważniejszymi jurorami są przeciętni widzowie. Na ich wierność może bez wątpienia liczyć

## Chór Aleksandrowa

Artykuł autorstwa Rafała Szymańskiego

*W ostatnim czasie raz kolejny miałem okazję uczestnictwa w występie Chóru Aleksandrowa. Koncert odbył się w Sali Kongresowej, przy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Rozpoczął się koncertem małej grupy muzyków w kuluarach, przy lampce rosyjskiego szampana.*

Chór Aleksandrowa (właściwie: dwukrotnie odznaczony [Ordre-rem Czerwonego Sztandaru](#) Akademicki Zespół Pieśni i Tańca [Armii Rosyjskiej](#) im. [A. W. Aleksandrowa](#)) powstał w październiku 1928 roku, a założony został przez Aleksandra Aleksandrowa – kompozytora i nauczyciela moskiewskiego konserwatorium. Początkowo w zespole występowało tylko 12 artystów. Dopiero kilka lat później, w połowie lat 30., grupa znacznie się rozrosła i stała się

dużym męskim chórem z orkiestrą i grupą taneczną. Chór, jak wiele innych chórów męskich, składa się z trzech głównych sekcji wokalnych (tenor, [baryton](#) i [bas](#)). W większości wykonywanych numerów jest podzielony na większą ilość głosów, co daje w sumie 8 różnych linii wokalnych. Chór Armii Czerwonej bierze również udział w przedstawieniach związanych raczej z luźniejszym repertuarem. Podczas koncertu można było usłyszeć rosyjskie utwory takie jak: Marusia, Kalinka, Dzień Zwycięstwa. Chór zaskoczył publiczność polskimi utworami, przedstawił m.in. „Czerwone maki na Monte Casino” – podczas którego publiczność wstała, pokazując w ten sposób, że ten utwór znaczy dla Polaków bardzo wiele – oraz utwór „To były piękne dni”. Gwiazdą wieczoru był

Josif Kobzon – znany na całym świecie ceniony rosyjski śpiewak. Przyjechał do Polski po 40 latach (ostatnim razem był na święcie „Trybuny Ludu”) i wystąpił w towarzystwie Chóru.

Jako widz, czułem się wciągnięty w świat rosyjskiej piosenki z wielkim temperamentem. Po prostu nie można tego opisać, trzeba posłuchać.

## Berek – kontrowersje wokół sztuki

Artykuł autorstwa Michała Kornatowskiego

„Berek, czyli upiór w moherze” jest sztuką powstałą na podstawie książki Marcina Szczygielskiego. Do przeniesienia powieści na teatralną scenę zachęciła autora Ewa Kasprzyk, która zagrała jedną z głównych ról. Sztuka w reżyserii Andrzeja Rozhina w grudniu 2008 roku trafiła na deski specjalizującego się w komediowym repertuarze warszawskiego Teatru Kwadrat. Akcja dzieje się „tu i teraz”, czyli w jednym z war-

szawskich bloków. Scena podzielona jest na dwie części – mieszkanie Anny (Ewa Kasprzyk) i Pawła (Paweł Małszyński). Trzeba tu nadmienić, że scenografią zajmował się Wojciech Stefaniak, któremu należą się z tego względu ukłony.

Sztuka jest z jednej strony łatwa i przyjemna, choćby ze względu na grę aktorską, która to moim skromnym zdaniem jest rewelacyjna, a przynajmniej w

odniesieniu do pani Ewy, która w rolę starej, stetryczalej, moherowej babci wcieliła się znakomicie. Aktorka, jak sama podkreśla, zagrała Annę z wielką chęcią, ponieważ światopoglądy tych dwóch kobiet stanowią ogromny kontrast i chciała spróbować czegoś nowego. No właśnie, nie lada wyzwanie. Moherowa babcia stworzyła swój własny świat, w którym panują znane tylko jej normy i zasady i w którym

nie ma miejsca na homoseksualizm i tego typu „pasożyty”. Jak sama mówi, a co świadczy o dewocji (w jej przypadku równorzędnej dewiacji), „Społeczeństwo to jeden wielki organizm, jak Ojciec Dyrektor mówi”.

Z drugiej strony jednak „Berek...” porusza pewien problem. Paweł jest gejem, który mimo tego, że pogodził się i zaakceptował swoją orientację seksualną, nie do końca radzi sobie z jej skutkami. Mianowicie, życie od jednego przelotnego romansu do drugiej seksualnej przygody zaczyna go męczyć. Szuka ustatkowania i miłości. A jest to nie lada wyzwanie, kiedy za ścianą ma się Annę Lewandowską, walącą w rurę patelnię, kiedy włączy się za głośną muzykę bądź wypi-

sującą na drzwiach „pedau” (tak, właśnie pedau), kiedy zwróci się jej uwagę.

Oczywistym jest fakt, że teatr różni się od filmu choćby tym, że w teatrze wszystko może się zdarzyć. Podczas jednej ze scen Paweł Małaszyński niestety nie wytrzymał rozbrajającego głosu pani Ewy i zaczął się śmiać. Cóż, nie mógł uspokoić się przez około dziesięć minut, co sprawiło, że nawet Kasprzyk w pewnym momencie nie wytrzymała. Ludzie płakali ze śmiechu. Ci, którzy stali, musieli usiąść. Atmosfera na scenie do tego stopnia się zdeorganizowała, że Paweł stwierdził, że nie da rady wymówić jednej ze swoich kwestii i po prostu zszedł ze sceny. To się nazywa zabawa. A wracając do fabuły, wszystko się jednak ułożyło, no

jak by inaczej. Kiedy Anna złamała nogę, Paweł musiał się nią zaopiekować, co zbliżyło ich do siebie i w konsekwencji sprawiło, że zostali przyjaciółmi. Ponadto dzięki kontuzji, Paweł spotkał swoją drugą połowę, lekarza Wojtkę (Sebastian Cybulski). Anna pogodziła się z córką (Katarzyna Glinka), która wypominała matce krzywdy z dzieciństwa, ale finalnie wszystko jej przebaczyła. Tak zwany happy end.

Moim zdaniem sztukę warto zobaczyć. Poza, wydaje mi się, niebanalną fabułą można doświadczyć niezapomnianych wrażeń, choćby ze względu na grę aktorską i rozbrajające dialogi. Gdybym miał kolejną okazję, nie zastanawiałbym się nad tym, czy kupić bilet czy nie.

### Minirecenzja

Zachwyciły nas wszelkie zwiastuny zapowiadające film jako „superprodukcję” – kiedy jednak udałam się do kina i po dwóch godzinach oglądania zobaczyłam na ekranie napisy końcowe, moje odczucia były mieszane. Kolejny już film opowiadający o końcu świata niezbyt mnie zachwycił. Spodziewałam się bardziej ambitnej fabuły, jednak się zawiodłam – przereklamowana wizja końca ludzkości nie zachwyca już odbiorców, zbyt wiele takich obrazów widzieliśmy. Gdyby nie efekty specjalne, które były na prawdę zdumiewające, film okazałby się totalną porażką.

-Magda Sobiesiak

# Avatar

Artykuł zbiorowy

## Avatar, czyli baśń totalna według Camerona

Niebieskie, humanoidalne stworzenia patrzące na nas wielkimi, złotymi oczyma z ekranu i plakatów porozwieszanych dosłownie wszędzie. Można powiedzieć, że nawet do łazienki nie można udać się bez oglądania kolejnej reklamy nowego filmu twórcy „Titanica”. Obraz, nazywany największym przełomem od czasu filmu dźwiękowego, atakował nas tak długo i namiętnie, że słysząc o jego rekordowym budżecie, zastanawiamy się, co było droższe – zastosowane efekty specjalne i całość kształt produkcji czy może kampania? Jednak nawet jeśli rzeczywiście zmęczyliśmy się wcześniej tym szturmem, powinniśmy odwiedzić kino, zapatrzeć się w co tam tylko chcemy i obejrzeć, ponieważ „Avatar” jest wart naszych dwudziestu ośmiu złotych za bilet na trójwymiarową wersję...

Tak. Film wnosi coś do historii kina. Nie powiedziałabym, tak jak niektórzy, że otwiera nowy rozdział, nie przeceniajmy go, mimo to nie da się przejść obok niego obojętnie. Zasluguje na to, żeby go zauważyć, ponieważ jest jednym z niewielu naprawdę dobrze zrobionych obrazów tego typu.

Sytuacja prezentuje się mniej więcej tak: kaleki były żołnierzy lecący na planetę Pandora, by za-

jąć miejsce swego brata, który zginął w okolicznościach... dosyć specyficznych. Ma wziąć udział w projekcie – naukowcy połączyli DNA ludzkie z DNA rasy Na’vi, tworząc Avatary – drugie ciała kilkorga z nich, dzięki którym będą w stanie lepiej poznać cywilizację mieszkańców Pandory. Jedyne Jack Sully jest w stanie kontrolować Avatar brata bliźniaka, mają bowiem ten sam genom. Podczas pierwszej wyprawy w głąb nieznanego terenu główny bohater, uciekając przed ogromnym stworzeniem, gubi się i jest zmuszony nocować w dżungli. Podczas potyczki z kolejnymi cudami egzotycznej natury życie ratuje mu pewna urocza niebieska dama. Dostaje też znak od bóstwa Na’vi. Nie zostaje dokładnie wyjaśnione, czego właściwie jest to znak, ważne są jednak efekty. Jack zaczyna szkolenie, by stać się pełnoprawnym obywatelem plemienia.

To prawda, fabule zdarza się zahaczać o tereny banałopodobne. Zakazana miłość pomiędzy przedstawicielami dwóch ras – cały czas miałam wrażenie, że to już gdzieś kiedyś się wydarzyło. Słabo rozwinięta cywilizacja wygrywająca bitwę z wysoko rozwiniętą technologią przybyszów z kosmosu – również niezbyt oryginalne i mało prawdopodobne, szczególnie że, jak zdążyliśmy zauważyć, często ciężko przegonić albo zniechęcić takiego człowieka. A jeżeli jeszcze chodzi o dwadzieścia milionów

dolarów za kilogram jakiejś uroczej substancji? Sama nie jestem pewna, czy cokolwiek by mnie zniechęciło.

Jednak wystarczy spojrzeć na ekran, by zauważyć, co zachwyca i dziwi. Mnie osobiście, jako człowieka czasami zainteresowanego sztuką, już w pierwszej chwili zaintrygowała barwa. Rzeczywistość Pandory to żywe, momentami wręcz neonowe kolory, uderzające z każdego skrawka ekranu, tworzące niesamowitą atmosferę świata przedstawionego, ukazując jego egzotykę. Oczywiście uwielbiam też pomysł niebieskich ludzi (owszem, Na’vi również tytułują siebie ludźmi).

Trzeba przyznać, że efekty specjalne również są na niesamowitym poziomie. Wybuchy, latające góry, nasiona Drzewa Dusz i sama charakterystyka aktorów (gdybym nie wiedziała, że to oni, raczej bym na to nie wpadła).

Również pomysł cywilizacji ukazującej ludziom piękno otaczającego ich świata (choć nienowowy), ma w sobie jakąś magię. Być może wynika ona z tego, że w takiej Pocahontas nikt nie podłączał się do drzew i zwierząt za pomocą dziwnych rzęsek wyłazających z warkoczy.

Plusem jest też soundtrack, całkiem dobrze oddający atmosferę filmu.

Podsumowując moje rozważania, film naprawdę warto zo-



zystowaniu w poszanowaniu. Bogini-Matka Eywa czuwa nad porządkiem świata, karmiąc swoje dzieci. Lud Na'vi, zamieszkujący planetę, dba o porządek świata. Błękitne koty, jeźdźcy na stepach, łowcy na niebie. Oddają cześć każdej żyjącej części świata, który ich otacza, jednoczą się z nim, niemal tworząc jedność. Specyficzna więź, jaka może łączyć Na'vi ze stworzeniami, pozwala im interpretować rzeczywistość oczami nie tylko własnymi, ale też, jak się okazuje, wszystkiego, co się rusza. Fakt ten pozwala na lepsze zrozumienie miejsca, w którym żyją, poznanie każdej żywej istoty, w konsekwencji pomagającej poznać lepiej samych siebie.

No a przechodząc do jakichś subiektywnych konkretów („Avatar” jest filmem, którego nie da się ocenić obiektywnie). To produkcja zrobiona z ogromnym rozmachem, w której wykorzystane są najnowsze zdobycze technologiczne – film, pod względem efektów specjalnych, naprawdę wbija w fotel. Zero przesady. Świat w „Avatarze” stworzony został przez twórcę takich produkcji jak „Titanic”, „Obcy”, „Terminator” czy

„Prawdziwe kłamstwa” – James’a Camerona. Osoba oglądająca produkcję ma wrażenie czynnego uczestnictwa w historii podróży Jake’a Sully’ego przez Pandorę, podróży – nie da się ukryć – zachwycającej i niesamowitej (dla wrażliwców oczywiście). Każde drzewo, krzak, liść, żywe stworzenie

baczyć. Znam takich, którzy właśnie wrócili z drugiego seansu i planują trzeci. Nie polecam aż takiego entuzjazmu, ale to jedynie dowód na to, że w „AVATARZE” można się nawet zakochać.

Monika Lutomirska

### „Bo na Pandorze żyje się lepiej...”

Pandora – miejsce okryte wieczną tajemnicą, żywiące niezliczoną ilość nieznanych dla „nudnego” człowieka zwierząt i roślin. Wszystko jest idealne, duchowe, boskie, opierające się na symbiozie i wzajemnym eg-

mienia się niezwykle gamą barw, niekiedy osłepiającą. Precyzja wykonania i szczegółowość zapierają dech w piersiach, nie pokazując tym samym „bazarowego landszafcziku”. Człowiek zapomina o ponurej, nudnej jakby nie patrzeć rzeczywistości. Problemy, które ma, czy raczej miał, najwyraźniej zostawia przed wejściem na kinową salę.

Neytiri. No i tu szczęka opada. Najlepiej „zrobiona” postać w całym filmie. Nie chodzi tu o efekty, jakąś wizualność i powierzchowność tej postaci. Neytiri, którą zagrała Zoe Saldana, wyraża sobą niesamowitą ekspresję. Pomimo ogromnego komputerowego wkładu w tę postać, jest ona niesamowicie realna, emocjonalna (jeśli wiadomo, co mam na myśli), każdy ruch, gest, mimika twarzy wyrażają jakieś emocje, niekiedy wyolbrzymione, ale nadające zarazem postaci jeszcze więcej realizmu. Takie małe wcięcia w tekst.

Można temu wyidealizowanemu obrazowi, który prezentuję, przypisać przerost formy nad treścią. Fakt faktem, fabuła jest ciekawa, ale nie innowacyjna – co wiele osób krytykuje, jest to zresztą główny zarzut. Ale czy jest film, który nie ma schematycznej fabuły? Pewnie jest, ale nie należy do tych powstających współcześnie. Dzisiaj nie można zrobić filmu, który nie będzie oparty na jakichś schematach, nie wiadomo tak naprawdę nawet jakich. Zawsze znajdzie się element, który był, który się powtarza i powiela. Zawsze znajdzie się osoba, która ten element znajdzie i w sumie udowodni, bo do skomplikowanych działań to nie należy. Ale nie przesadzajmy i nie dajmy się

zwariować. Forma niweluje wszelkie schematy fabuły.

Tak ogromna popularność filmu, miliardowy już dochód (uzyskany w niespełna 17 dni) może postawić „Avatar” w czołówce rankingu jednej z najdroższych produkcji w dziejach i najwięcej zarabiającej. Jest to spowodowane częściowo ogromnym rozreklamowaniem i szumem wokół premiery, jednak... nikt się chyba nie zawiódł. Ludzie naprawdę kochają ten film. Niektórzy nawet zaczynają praktykować sny na jawie, co na jednym forum poświęconym „Avatarowi” było kluczowym tematem. Wyśnić Pandorę? Czemu nie. Skusiłbym się. No tak, generalnie nie ma się nad czym zastanawiać –jechać i kupować bilet na seans, w trójwymiarze oczywiście. Osobiście byłem dwa razy i nie wiem, czy nie wybiorę się ponownie. Nie czekać, aż będzie na płytach albo oglądać w Internecie, bo to naprawdę nie to samo! Czar Pandory prysnie...

“You’re not in Kansas anymore.  
You’re on Pandora”

I see you...

Michał Kornatowski

### Avatar

Akcja filmu rozgrywa się w XXII wieku, od maja do sierpnia 2154 roku. Główny bohater, Jake Sully, to sparaliżowany od pasa w dół weteran. Otrzymuje szansę, by ponownie chodzić w ramach programu Avatar prowadzonego na Pandorze – księżycu gazowego giganta w ukła-

dzie Alfa Centauri. Zamieszkuje go rasa humanoidalnych Na'vi – z ich DNA skrzyżowanego z DNA ludzi hoduje się ciała zwane "awatarami". Ludzki kontroler może zdalnie sterować takim ciałem i czuć to samo, co jego awatar. Na Pandorze Jake zostaje wrzucony w sam środek narastającego konfliktu między ludzkimi przybyszami a Na'vi żyjącymi na etapie luków i włóczęgi. Ludzie chcą za wszelką cenę pozyskać z Pandory bezcenne Unobtainium – nadprzewodnik zachowujący swoje właściwości nawet w temperaturach pokojowych. Jednocześnie zachowują się bezlitośnie wobec niezwyklej fauny i flory globu. Jake z czasem zaczyna dostrzegać mądrość Na'vi i zastanawia się, czy stoi po dobrej stronie...

W dzień końca świata  
Pszczola krąży nad kwiatem  
nasturcji,  
Rybak naprawia błyszczącą sieć.

(...)

A którzy czekali błyskawic i gromów,  
Są zawiedzeni.

(...)

Dopóki dzieci różowe się rodzą,  
Nikt nie wierzy, że staje się już.

Tylko siwy staruszek,  
który byłby prorokiem,  
Ale nie jest prorokiem, bo

ma inne zajęcie,  
 Powiada przewiązując po-  
 midory:  
 Innego końca świata nie bę-  
 dzie,  
 Innego końca świata nie bę-  
 dzie.

Ten wiersz Miłosza idealnie opisuje rewolucję Avatara, a to nic więcej jak bardzo dobry film przygodowy. Naiwny bo naiwny, wtórny bo wtórny, sztampowy bo sztampowy, ale opowiedziany w taki sposób, że widz nie nudzi się ani sekundy. To taka zwykłość w niezwykłości. Cameron pokazał bowiem, że można się obejść bez nowoczesnej technologii, a w filmie 3D wcale nie trzeba w co trzeciej scenie robić kiczowatych blefów. Ten człowiek zrobił po prostu oldschoolowy film przygodowy – tylko że zamiast zwykłej kamery użył trójwymiarowej i jak się okazało – to wystarczy. Cudownie było obejrzeć scenę akcji, w której wszystko jest widoczne, a zamiast skomplikowanej historii miłosnej, złożonej ze stu elementów układanki,

która w końcu albo okaże się banałem, albo tak skomplikowanym przesłaniem, że aż niedostępnym dla widza. Cameron bez zbędnych innowacji i efekciarstwa zaskoczył nas prawdziwą rewolucją, czyli po prostu świetnym filmem.

Jowita Jędras

### **Avatar – does it exist?**

I' ve recently watched a new film *Avatar*. This is science – fiction story connected with a cartoon or fairy tale. It is directed by James Cameron, maker of *Titanic*. The cast is not very known, but matched very professionally.

The film tells the story of disabled soldier, Jack Sully (Sam Worthington), who was chosen to replace his dead, twin brother in another planet – Pandora. Scientists led by Grace (Sigourney Weaver) researching the local nature and people – Na' vi. But atmosphere here isn't adapted to normal people.

Like in the most of fairy tales, there are good and bad characters and of course – love. There

are much special effects and perfect graphic arts. Sound-track, acting and the main topic are also interesting.

But this film has got some bad points too. Probably the most important is length. Three hours – definitely to long.

But I think that *Avatar* is worth seeing and I recommend it to people who like this type of films. Watch it and find out !

Anna Gorzkiewicz



## Coco Chanel – przypadek geniuszu czy geniusz z przypadku ?

Artykuł autorstwa Kamila Fijałskiego

Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, z okazji Dni Kultury Francuskiej, mieliśmy możliwość obejrzenia filmu pt. „Coco Chanel”. Film, opowiadający o początkach kariery słynnej francuskiej dyktatorki mody, dość umiarkowanie porwał widzów siedzących w kinie (w tym również mnie).

Historia rozpoczyna się w sierocińcu, gdzieś na francuskiej prowincji, gdzie mała Coco została przywieziona przez swojego ojca. Kolejne sceny pokazują nam dalszy ciąg dzieciństwa przyszłej projektantki. Następnie przenosimy się w czasy, kiedy Coco jest już dorosła i pracuje w pubie jako śpiewaczka razem ze swoją siostrą. Praca jak każda inna: ciężka, dość męcząca i słabo płatna. Jednak całe jej życie zmienia się za sprawą poznanego „po godzinach” Barona, który oferuje jej szansę zatrudnienia w znanym lokalu w Paryżu. Jak się okazało, nic z tego nie wyszło, a Gabrielle (prawdziwe imię Coco Chanel) bez pracy, domu i pieniędzy musi szukać pomocy u Barona. Zakładając tylko kilkudniowy pobyt, zostaje tam jednak na kilka kolejnych miesięcy, gdyż zwyczajnie nie ma dokąd pójść. Pobyt w domu magnata nie należy do najbardziej przyjemnych, Coco musi znosić wiele upokorzeń ze strony swojego opiekuna, jak również

jego znajomych i przyjaciół. Jednak wszystko odменя się za sprawą byłej kochanki Barona, aktorki. Coco zaczyna projektować dla niej kapelusze, a z czasem wykonuje też ubrania na różne okazje dla artystki oraz jej przyjaciółek.

Sława zdobyta dzięki wykonywaniu świetnych kreacji przyciąga uwagę jednego z pracowników Barona, który mimo wszystko, planując ślub z inną kobietą, zabiera Gabrielle w 3 miesięczną podróż po swojej ojczyźnie, Anglii. Rozczarowana Coco, nie zrywa jednak kontaktu z obcokrajowcem i kontynuuje romans, który trwa w zasadzie do końca życia.

Coco, zdobywając coraz więcej klientek, postanawia opuścić Barona i poświęcić się kreowaniu mody. Mając trochę swoich pieniędzy, zakłada własny dom mody, który dziś znany jest na całym świecie.

Gwiazdorska obsada filmu (min. w roli Coco Chanel – Audrey Tautou), nie porwała ani swoim talentem, ani historią. Ekranizacji historii francuskiej dyktatorki mody wyraźnie brakuje akcji i dynamizmu. Film leniwie przelewa się, uka-

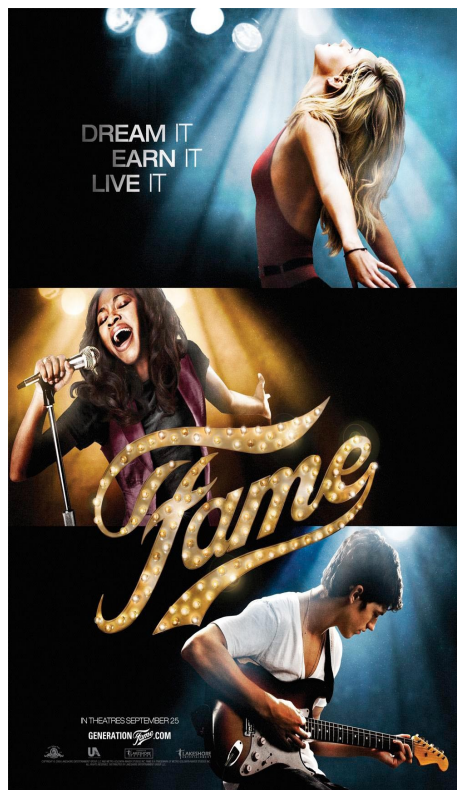


zując głównie lata przed wielką karierą Coco. Dobrze ujmuję to oryginalny tytuł filmu: „Coco avant Chanel” (Coco przed Chanel).

Ocena filmu jest dość trudna i niejednoznaczna. Nie można niczego zarzucić scenografii (naprawdę nastrojowe widoki francuskiej prowincji), muzyce czy kostiumom i ogólnemu wykonaniu. Jednak brakuje „tego czegoś”, co zwyczajnie trzyma nas przy ekranie. Gdyby ten film powstał w czasach współczesnej Coco Chanel, zapewne zostałby okrzyknięty arcydziełem. Jednak na dziś ładne widoki i sukienki do ziemi to za mało, aby zainteresować współczesnego widza.

# Fame

Artykuł autorstwa Artura Lisińskiego



„Fame”, nakręcony przez Kevina Tacharoen'a i opowiadający historię grupy studentów nowojorskiej akademii sztuki, jest współczesną wersją musicalu Alana Parkera z lat 80. („The Wall”) o tym samym tytule. Film ten nie odniósł tak znaczącego sukcesu jak jego pierwowzór. Całość filmu utrzymana jest w klimatach muzyki hip-hop i pop. Akcja rozpoczyna się w dniu castingu, kiedy to spotykamy głównych bohaterów po raz pierwszy. Poznajemy ich pasje, problemy, marzenia, które – aby zostały spełnione muszą – być okupione ciężką pracą, potem, krwią i łzami. Obserwujemy, jak dynamicznie dojrzewają z roku na rok, gdyż fabuła podzielona jest na rozdziały, z których każdy obejmuje zakres najważniejszych wydarzeń danego roku. Przez film przewijają się,

bardzo naiwnie zaprezentowany, wątek miłosny, kiedy to przypadkowe spotkanie wywołuje miłość od pierwszego wejrzenia, pełną wzlotów i upadków.

Mimo że sam pomysł na realizację filmu był ciekawy, to, moim zdaniem, jego potencjał został zmarnowany. Powodem może być szczątkowe ukazanie historii bohaterów, z którymi widz nie ma możliwości się zintegrować. Film rozczarowuje, a zachowania bohaterów pozbawionych psychologicznej głębi są irytujące. Na szczególną uwagę zasługuje scena, podczas której Jenny przychodzi do swojego starszego kolegi grającego już w serialu. Dziewczynę kusi fakt, że ten – w sposób aluzyjny – proponuje jej rolę aktorską. Jenny jest już w związku, jednak chęć zdobycia sławy jest silniejsza od niej. Jej zachowanie podczas „odgrywania sceny” (w której to jej kolega – jak to określili – lubi improwizować) jest synonimem zwrotu „być naiwnym”.

Osobą, której postępowanie mnie wręcz zaintrygowało, jest Malik, „buntownik ze złej dzielnicy”, święcie przekonany o swoich umiejętnościach aktorskich. Malik odkrywa w swojej koleżance, Denise, talent wokalny i chce go wykorzystać, by zarobić na stworzeniu płyty z mało ambitną muzyką. Wzrusza mnie postać Denise, o której życiu decydują wciąż rodzice. Pod wpływem Malika postanawia

dokonać aktu zorganizowanego buntu, czyli porzucić fortepian (na którym moim zdaniem grała pięknie) i zacząć śpiewać. W filmie pojawia się także bohater, idol nastolatek, o głosie anioła i delikatnym, dziewczęcym licu będący gwoździem do trumny, jeśli chodzi o fundamentalne pytanie o odbiorcę kina, czyli: „Dla jakiej młodzieży jest ten film?”.

Oceniając grę aktorską, można powiedzieć, że stoi na adekwatnym dla tego typu filmów poziomie. Reżyser podjął się produkcji, która tak naprawdę nie prowadzi widza do żadnych głębszych emocji czy refleksji. Film ten jest kopią wielu filmów amerykańskich lat ubiegłych. Jak mawiał Albert Einstein: „Szaleństwem jest robić to samo i oczekiwać odmiennych rezultatów”. Zgodnie z tą myślą twierdzą, że możliwość skorzystania z doświadczenia innych reżyserów amerykańskich niewiele nauczyła Kevina Tacharoen'a. Moim zdaniem film jest infantylny i niespójny, bardzo stereotypowo pokazuje świat bohaterów. Jeśli więc nie jesteś osobą o stalowych nerwach, silnej woli i czystym sumieniu, możesz sobie ten film odpuścić.

## Cena uczuć

Artykuł autorstwa Michała Urbańskiego

Film Mementa Avisa „Cena uczuć” jest to nisko budżetowy obraz z cyklu komedii romantycznych. W filmie nie ma wybitnych aktorów a sama akcja toczy się w USA.

„Cena uczuć” opowiada historię dwojga obcych sobie ludzi, których drogi krzyżują się na moment w nowojorskim metrze. Są nimi biedny muzyk i bogata modelka. Ich drogi łączą się znowu po kilku latach w LA, gdy Brier chce zostać aktorka. Luke stara się o jej względy, lecz ona ma już mężczyznę, ale mimo to postanawia z przyjaciółką pomóc mu, robiąc wokół jego osoby zamieszanie, dzięki któremu podpisuje kontrakt płytowy.

Film opowiada o przeżyciach te-

go muzyka, gdy przez swoją naiwność traci szybko zdobytą sławę i z bogactwa stacza się na dno. Na ratunek znowu przychodzi Brier z przyjaciółmi i dzięki koncertowi ponownie lansuje Luka i jego przyjaciółkę, Cleo. Uczucie Luka do Brier nie zmieniło się, nadal ją kocha – w trakcie koncertu postanawia lecieć za nią do NY. Pomaga mu w tym wpływowy przyjaciel Brier, który proponuje Lukowi ciche życie kompozytora na Hawajach przy boku swojej ukochanej dziewczyny. No i mamy spodziewany happy-end.

Film nie robi specjalnego wrażenia i mimo że jest komedią romantyczną nie ma w nim zbyt wielu romantycznych scen. Nie

jest on także śmieszny, chociaż szczątkowo może rozbawić jego fabuła, która pokazuje, jak w życiu wszystko łatwo przychodzi, jeśli tylko ma się szczęście. Jest to swego rodzaju komedia „science-fiction” przeznaczona dla fanów zawitych telenowel. Film polecam paniom, które wzdychają na widok przystojnych mężczyzn i lubią odchodzić daleko od rzeczywistości. Pozytywną cechą tego filmu jest moment obrazujący bardzo rzeczywistą scenę przypadkowego spotkania na ulicy, gdy ludzie już na pierwszy rzut oka przypadają sobie do gustu.

## Nieoczekiwanie – „Ogniem i mieczem”

Artykuł autorstwa Adama Magnuszewskiego

Długo zastanawiałem się, na jaki temat mam pisać. Dopiero kiedy zacząłem przeglądać programy telewizyjne, natrafiłem na dobrze mi już znany film pt. „Ogniem i mieczem”. Początkowo nawet nie przyszło mi do głowy, żeby napisać o nim, ale...

Jak wiadomo, Jerzy Hoffman zekranizował całą Trylogię Sienkiewicza, poczynając od ostatniej części – „Pana Wołodyjowskiego” (1968), przez „Potop” (1974), a kończąc na „Ogniem i mieczem” (1999). Zanim napiszę już bezpośrednio o samym filmie, chciałem tylko dodać, że Jerzy Hoffman za „Potop” został nomi-

nowany do Oscara.

Wspomniałem o tym nie bez powodu, ponieważ film pod tytułem „Ogniem i mieczem” miał być ekranizacją powieści Sienkiewicza – pierwszej części Trylogii. Oglądając ten film – od samego początku – odnoszę wrażenie, jakbym patrzył na jakiś komiks. Oczywiście nie taki rysunkowy, ale na coś nie tylko niemającego większego powiązania z pierwowzorem, ale także czegoś bardzo spłyconego. Wiadomo – wizja reżyserka – ale jeśli ktoś podejmuje się ekranizacji utworu Sienkiewi-

cza, to powinna to być ekranizacja utworu napisanego przez Sienkiewicza, a nie przez pana Hoffmana. Odnoszę też wrażenie, można się z tym zgodzić albo nie, że Hoffman wyreżyserował ten film w takim „amerykańskim stylu”. Mam na myśli to, że po tym, jak „Potop” otrzymał nominację, „Ogniem i mieczem” mogło to samo powtórzyć. Cudzoziemiec nie rozpozna takich niuansów jak Polak, znający kulturę i historię swojego kraju. Może dlatego ten film niespecjalnie przy-

padł mi do gustu.

W każdym bądź razie, wydarzenia rozgrywają się na terenach Rzeczypospolitej. Główny bohater, Jan Skrzetuski – namiestnik (później porucznik) chorągwi pancernernej księcia Jeremiego Wiśniowieckiego – jest przykładem idealnego żołnierza, męża i chrześcijanina. Zakochany jest do szaleństwa w Helenie Kurcewiczównie, którą poznał pewnego razu w siedzibie rodu Kurcewiczów. O jej rękę rywalizuje z pułkownikiem kozackim Bohunem.

Akcja osadzona jest w połowie XVII wieku, więc na terenach Kresów wybucha powstanie kozackie przeciwko Rzeczypospolitej. W tych trudnych czasach wiele się działo, Skrzetuski wykonywał poszczególne misje, dowodził oddziałami, spełniał się jako żołnierz, natomiast kniaziówna Helena, razem z panem Zagłobą, musiała uciekać przez Ukrainę przed Bohunem i zbierającą na sile czernią. Miały miejsce zawieruchy zarówno miłosne, jak i polityczne. Początkowo Kozacy przejmowali całe połacie Ukrainy i jedyłą osobą, która w jakimś stopniu mogła im się przeciwstawić, był książę Jeremi Wiśniowiecki. Sienkiewicz bardzo wyidealizował tę postać na potrzeby książki, jednak rzeczywistość coś musiało w niej być. W końcu nie bez powodu jego syn, Michał Korybut Wiśniowiecki, niereprezentujący sobą niczego wyjątkowego, został wybrany na króla Rzeczypospolitej. Odnosi toczonych albo wspomnianych w filmie bitew, Sienkiewicz początkowo pokazywał bitwy, w których wojska koron-

ne ponosiły klęski, natomiast kończąc utwór, pokazał istną rzeź Kozaków. Chodzi tu o starcie pod Beresteczkiem... którego w filmie nie ma. Brakuje najważniejszej bitwy, która miała przypomnieć Polakom o ich zwycięstwach, o tym, że mogą się podnieść. Poza tym Hoffman nieco idealizuje Kozaków, co wydaje się nieprawdziwe. Ani Polacy, ani Kozacy nie byli w rzeczywistości tacy, jak pokazał ich reżyser. Powiedzmy sobie szczerze, Kozacy nie byli bardzo kulturalną armią, która walczyła tylko o własną wolność. Oni także gwałcili, rabowali, niszczyli, a w filmie? W filmie to doborowe wojsko, dla którego sama walka jest czymś „ohydny”.

W książce panuje nastrój, który rzeczywistość mógł podtrzymać Polaków na duchu, natomiast w filmie Rzeczpospolita i Polacy (za wyjątkiem posągowej postaci Jana Skrzetuskiego) są pokazani przeważnie jako bezmyślne warchoły i opoje. Faktem jest, że nie stronili od tego, ale w książce pokazana jest także siła i potęga Rzeczypospolitej. W momencie ataków husarii praktycznie żaden szereg nie mógł ustać pod jej naporem. W filmie? W filmie pokazano husarzy albo powbijanych na własne kopie, albo topiących się w błocie. Poza tym, jeśli husaria atakowała, to nie na obszarze pięciuset metrów, ale kilometrów. Ich siłą był pęd. Nikt nie mógł ich zatrzymać, ciężkozbrojne oddziały niszczyły wszystko. W tej ekranizacji pokazano, jeśli się nie mylę w bitwie pod Żółtymi Wodami, raptem stu pięćdziesięciu husarzy,

którzy chcieli pokonać całą kozacką armię na obszarze dosłownie kilkuset metrów. Absurd aż bije po oczach.

Poza tym „Hej sokoły” – utwór powstały w XIX wieku, będący motywem przewodnim w filmie, większości widzów może kojarzyć się z galą muzyki biesiadnej i weselnej. Ze względu na ten właśnie kontekst nie nadaje się on na muzyczne tło akcji dziejącej się w połowie XVII wieku. Niektórych widzów może to razić i zdecydowanie psuje klimat filmu.

Fakt, lepiej obejrzeć „Ogniem i mieczem” niż kolejny odcinek „M jak miłość”, ale szkoda, że Hoffman wyreżyserował ten film zupełnie inaczej niż pozostałe części Trylogii. Widz „Potopu” po obejrzeniu „Ogniem i mieczem” może czuć się poważnie rozczarowany. Ostatecznie jestem zdania, że ten film trzeba obejrzeć, ale jeśli ktoś czytał wcześniej książkę, to wydaje mi się, że nie będzie po to dzieło (chętnie) wracał.

# Z pamiętnika nastolatki

Opowiadanie autorstwa Joanny Felczak

## Odcinek 11.: Kłopotów ciąg dalszy

Czwartek, 3 maja

Witaj majowa jutrzeńko! Trzeci maja. Konstytucja, w telewizji setki transmisji z obchodów kolejnej rocznicy jej uchwalenia. Konstytucja 3 Maja - pierwsza konstytucja w Europie, druga na świecie zaraz po amerykańskiej. Tyle nadziei, tyle wiary, odnowa duchowa Polaków. Ja nie jestem taka zła z historii, to pamiętam jeszcze z gimnazjum z lekcji z sosem Wilczyńskim. To był ktoś, aż się chciało uczyć... Siedzimy wszyscy w domu i oglądamy obchody w Warszawie. Potem będziemy oglądać razem film „Kto wrobił królika Rogera?”, Paula i Marcin przyjdą.

\*\*\*

Jak to przyjemnie leniuchować w otoczeniu rodziny, oglądając po raz siedemnasty świetny film. Niewiem wychodził dzisiaj na dwór sześć razy, nie narobił w domu. W nocy było inaczej, tata musiał wychodzić z nim ze trzy razy, tak piszczał. Na razie jest grzeczny. Nic mi się nie chce robić.

Piątek, 4 maj

I już za lekcje się wzięłam. Trzeba wrócić do rzeczywistości. Nawet z Niewiemem wyszłam na spacer. Już się właściwie dobrze czuję. Tylko muszę leki wybrać do końca. W poniedziałek do szkoły. Rodzice jadą w weekend po babcię Wandę.

Więc sobota i niedziela w sumie wolna. Mam prawdopodobnie mieszkać u Pauli i Marcina, ale dom też trzeba będzie odwiedzić. Psa oczywiście biorę z sobą. Paula z nim będzie wychodzić, już się zadeklarowała. Bryśka dzwoniła, że dostała trójkę z polaka z klasówki, a ja cztery mniej. Jest oczywiście wstrząśnięta. Mam całą górę lekcji do odrabiania...

Sobota, 5 maja

Już właściwie doszłam do siebie. Głowa przestała mnie boleć. Został tylko ten przeklęty katar i końcówka kaszlu. Obejrzałam wszystkie filmy z każdym członkiem rodziny, a jeden nawet z Bryską. Bilans mojej choroby wygląda następująco:

1. jedno omdlenie ze skutkiem tragicznie śmiesznym,
2. siedem filmów, w tym jeden na popsutej kasecie, oczywiście nie ja popsulałam,
3. siedem lub osiem razy- odwiedziny Bryski, nie jestem pewna,
4. jeden raz- odwiedziny kuzynki Krzysi,
5. dziwne odwiedziny Królewicza z dziwnym zdarzeniem, jakim było przyjście Wioli pod mój blok,

cudowny, niesforny prezent, jakim był Niewiem.

Tak, szkoda, że na początku było tak nudno. Przynajmniej odpoczęłam od szkoły, w po-

niedziałek muszę tam znów iść, pff...

\*\*\*

Bryśka postanowiła, że skoro już się dobrze czuję, możemy zrobić próbę naszego zespołu.

- Przecież nie mamy nawet nazwy!- zaproponowała Bryśka.

Próba miała się więc odbyć dziś o 15.30, ale Gabrysia napisała następującego SMS-a: nieMAprobyBO nieMAgdzieBO salaGI Mzajeta. Tak oto zyskałam wolne sobotnie popołudnie. Wyszłam z Niewiemem na spacer do parku obok bloku. Usiadłam na ławce, a on sobie biegał po łące między drzewami, jest nie większy od dwulitrowej butelki wody. Właściwie to chyba ze dwa razy mniejszy. Biegał, biegał, a ja się zamyśliłam, spuściłam go z oczu, no i... Niestety! Narobił pod jakąś inną ławką, akurat siedział tam pan, chyba po pięćdziesiątce, taki w kapełusiku, w garniturze, w błyszczących pantofelkach i czytał gazetę. Nie zauważył ani Niewiema, ani tym bardziej jego „dzieła”, więc oczywiście w nie wdepnął swoimi błyszczącymi pantofelkami, które w mgnieniu oka przestały błyszczeć i, zobaczywszy pieseczka, wrzasnął:

- Ty... (taki, owaki)! Zobacz, coś narobił! Ale... (to słowo chyba miało oznaczać: nieładnie pachnie...)! Czyj jest ten... (nazwał Niewiema bardzo niegrzecznie)?!

- Mój, przepraszam bardzo!- krzyknęła, sfrunawszy z ławki.

- Ty... (taka, owaka)! Co ty sobie myślisz do jasnej...?!- chyba poprzestanę na tym. Cóż, popołudnie było szalenie miłe... Wydawałoby się, że Pan Garnitur w Pantofelkach będzie bardziej kulturalny... Chyba już bym wolała mieć próbę tego diabelnego zespołu...

\*\*\*

Paula ponoć przyszła po pracy tak zmęczona, że położyła się spać. Jednak wcześniej zdążyła zrobić awanturę biednemu Marcinowi, że jej nie rozumie. Mój drogi szwagier wpadł do nas skruszony. Jego rodzice wyjechali gdzieś do kuzynów, a nie chciał siedzieć sam w domu, bo chociaż Paula też tam była, to tak jakby NIEOBECNA.

- Twoja siostra uważa, że skoro wcześniej wróciłem z pracy, to jej nie rozumiem.

- Ach tak...- nie bardzo go słuchałam, zdenerwowałam się, bo Niewiem wydalili płyny na moim dywanie. Byłam właśnie w trakcie prania tego nieszczęsnego miejsca.

- Julek, nie słuchasz mnie - rzucił biedaczek.

- Słucham, tylko widzisz, muszę zrobić, co muszę, bo już zawsze mi tu będzie... pachnieć i Niewiem powtórzy swoją akcję - powiedziałam ironicznie.

- Wiesz, co? Dawaj to! - Marcin zabrał mi szczotkę i zaczął szorować dywan! To się chłopak musiał wyładować... W mgnieniu oka mój pokój w całości lśnił. No Marcin gosposia - tego jeszcze nie było! Paula jednak wie, kogo sobie wybrać na męża.

- Marcinek, jeśli kiedykolwiek

pokłócisz się znów z moja siostrzyczką, to wpadnij! Pogadamy - to znaczy wpadnij, poodkurzaj, zmyj naczynia, wytrzyj kurze, umyj podłogi...

\*\*\*

Wieczór. Patrząc na spacerujących po parku ludzi, uświadomiłam sobie, jak szybko mijają dni. Przecież już niedługo wycieczka. Przez parę dni nie będę musiała sprzątać po Niewiemie. Ma się nim zajmować Paula. A biedna mama dostaje kota w domu. Zaczęła rozwiązywać krzyżówki, co jest już objawem naprawdę niepokojącym. Ona się tym odpoczynek zamęczy. Co jakiś czas ma rozrywkę w postaci wyjścia z psem lub rozmowy z ciotką Beatą, ale ileż można gadać ciągle o tym samym?!

\*\*\*

Noc mija wolno, spokojnie. Lubię maj, jest ciepło i wiatr tak przyjemnie wieje. Wyszłam na balkon. Park wygląda w ciemności jak wielkie, mroczne miasteczko. Kiedy tak na to patrzę, wydaje mi się, że mogę pisać wiersze, ale ilekroć znajdę kartkę, braknie mi weny. Chyba to nie jest moje powołanie - pisanie... Mam piasek w oczach, idę spać. Dobranoc.

#### Niedziela, 6 maja

Poszłam na siódmą do kościoła, bo wstałam o piątej i nie miałam, co ze sobą zrobić. Potem wyszłam z Niewiemem, dziś jeszcze nie narobił w domu, więc aż się chciało wyjść!

Paulina wpadła jak burza do domu około ósmej dwadzieścia trzy i krzyknęła od progu z nie-

zwykłą przyjaźnią w głosie:

- Julek! Ty czarownico!

- Tylko nie czarownico! Co się stało? Co ja już zrobiłam? - spytałam, nie wiedząc, o co chodzi.

- Co już znowu nabroiłaś? - spytał tatuś, który kręcił się po kuchni w poszukiwaniu gazety z programem telewizyjnym.

- Nie wiem...

- Jak możesz tak wykorzystywać mojego biednego męża?

- Jak możesz tak wykorzystywać jej biednego męża? - zawtórował tata Paulinie - A czemu ty wykorzystujesz jej biednego męża?

- Ale o co wam chodzi? - spytałam ze szczerym poczuciem niewiedzy w głosie.

- O ten dywan, który mu wczoraj kazałaś szorować!

- Julita! Co to za dywan, który mu wczoraj kazałaś szorować? - przedrzeźniał Paulę dalej tata.

- On mi sam zabrał szczotkę! - w tej chwili do domu wpadł Marcin.

- Paula! Nie krzycz na dziecko!

- Ja nie jestem dziecko! - oburzyłam się.

- Mówi prawdę! - rzucił szwagier kategorycznie.

- W życiu nie uwierzę, że wyprzełaś dywan w jej pokoju z własnej, nieprzymuszonej woli i to jeszcze po psie!- wzburzyła się moja siostrzyczka.

- O Boże! Paulina! Sam wyprzełam ten dywan! W jej pokoju! Po psie! Z własnej, nieprzymuszonej woli! Musiałam się jakoś wyładować! - zwrócił się prosząco do mnie i do taty, mówiąc:

- Powiedziałem tylko, że u nas by się przydało wyprać dywan, a ona powiedziała, że jest zmęczona i nie może tego zrobić, więc powiedziałem, że ja wypiorę ten dywan, a ona powiedziała, że ja przecież nie umiem prac dywanu, na co ja powiedziałem, że umiem, bo wczoraj wyprałem dywan u Julity w pokoju, na co ona powiedziała...

- Spokojnie! Szwagrze! - rzuciłam - tutaj zdecydowanie wszystko jest już powiedziane... Wszystko rozumiem. Kogo jak kogo, ale Paule to na takie rzeczy stać... Jest zdecydowanie zbyt ruchliwa - zachnęłam się.

- Ty sobie uważaj mała! - krzyknęła Paula.

- Paulina! Do domu! W tej chwili! - no Marcinek pokazał pazur... nareszcie, pantoflarz jeden.

Ach, ta moja Paula i te jej małżeńskie perypetie... Zabrzmiało, jakby byli po ślubie co najmniej dziesięć lat!

\*\*\*

Bryśka zadzwoniła z następującą wiadomością:

- Moje życie nie ma sensu! To koniec!

- A co się stało? - skąd ja znam ten ton w jej głosie... Hehe...

- Ach, to straszne, nie chcę o tym mówić!

- No, jak chcesz - powiedziałam.

- Nie prosz mnie, nie powiem ci, naprawdę, nie chcę o tym rozmawiać...

- Twoja decyzja, rozumiem.

- No nie powiem ci! Żebyś wiedziała, że ci nic nie powiem za to!

- Oj, Brysia, powiedziałam ci już, że nie musisz...

- Ależ ty się uparłaś, dobrze, powiem ci - albo była tak zajęta swoją najnowszą depresją, że mnie nie słuchała albo specjalnie to robiła - powiem, ale uprzedzam cię, że to będzie straszne!

- Jestem gotowa na najgorsze - powiedziałam śmiertelnie poważnym głosem.

- Więc... moje życie to kompletna pomyłka - to dramatyczne stwierdzenie mojej drogiej, roztrzepanej Bryśki doprowadziło mnie do łez współczucia, naprawdę... O mało nie padłam na podłogę ze śmiechu.

- Jak to?

- Mój zespół nie ma się gdzie podziąć! - Bryśka opowiedziała o nieprzespanej nocy, rozmyślaniu, o marzeniach zaprzeczonych przez maturzystów siedzących na Sali gimnastycznej, o tym, że matury skończą się pod koniec maja i wtedy dopiero znajdą się dla nas dwie, trzy godziny czasu... Powiedziałam jej, że to dobrze, bo przez ten czas będziemy mogły bliżej poznać resztę zespołu i ustalić pewne sprawy.

- Ty jesteś Napoleonka! - krzyknęła uradowana Bryśka.

Hm, czy Napoleonka to nie wiem, ale przyjaciółka to na pewno!

# Wiersze

## Moje myśli

Pełne wydumanego aryzmu myśli  
stykają się mgłą nieśmiałego dostrzegania  
na zaciemnionej linii horyzontu

rozpływają się łzawo  
skacząc jak migawka przerwanej kliszy  
w marzeniu niewiadomej poświaty.

Takie są właśnie moje myśli.

Jak najbardziej oderwane  
od szarej skorupy gruntu świadomości ocalonej  
rozkrzyczane rozbiegane  
rozczochrane potargane

wariują  
łapią się za ręce mimowolnie nieświadomie  
gdzieś na pułapie nieosiągalnej doskonałości  
czasem nawet tego nie zauważą  
pogrążone w swej niezmiennej relacji odbicia i powrotu  
reakcji i interakcji.

ale ciągle trwają  
żyją.  
to co, że niedorośle.  
ważne, że nie martwe.

- Karolina Sendal



*it is that black*

gdzie był twój bóg, kiedy cię zabijano? Eloise, życie to lepienie skrzydeł  
woskiem, dobijanie do brzegu. *I wish this would be your colour\**,  
mnóstwo obrazów bez znaczenia dla tych, którzy wystąpili  
w twojej bajce. pamiętasz, jak przyszła zima i lód skuł dziadka -  
wtedy po raz pierwszy płakałyśmy i tańczyłyśmy, aż zostały z nas  
bezbarwne pokoje. to są dni bez znaczeń, brudnych łyżek i sztucców  
ogólnie, jakbyś mogła coś zmienić: wiem. od pewnego czasu wiem i powtarzam,

życie to lepienie skrzydeł woskiem, spadanie do morza, Eloise. jedna decyzja  
nas dzieli, płacząca madonno. oto rzeki na emigracji: czarna filiżanko, zgniła  
brzoskwinio, krwawiąca sekwojo.

wieczór kojarzy mi się z ostatnim lotem,  
jaki dało się przeprowadzić nad Babilonem. życie, Eloise, to lepienie skrzydeł  
woskiem, rozpadanie się w słońcu.

---

\*cytaty - *Einstürzende Neubauten*

-Paulina Chyl

## *listy do wielu pokojów pisane na długo przed wojną*

jeśli umrzesz z miłości możesz liczyć na to, że zostaniesz wspomniany przy stole. ja się martwię o swoje życie wieczne, ty szukasz pieniędzy pochowanych dawno temu w ogrodzie. śnię samospelniający się wiersz (biorę go, po czym okazuje się, że biorę także ciebie, i tak się gonimy aż po świt, w rozpuszczonej rtęci, w morderczym upale). ale nie rób tego, nie umieraj z miłości - mówię to nagle, sztucznie suną w moją stronę po stole. nie potrafię kochać, ale ty, mój drogi, nie umieraj z miłości; są rzeczy lepsze od niej, wieczne, jak krzyk dziecka, jak podążanie za własną gwiazdą, chociaż matka karmiła większą, prosiła. z rozpędu powstają i małoszki: generałowie, biskupi - ołowiane figurki, które gładziłeś palcem czule niczym piersi kobiety. a fructibus eorum cognoscetis eos,

rada rzucona dawno temu. na mój pusty stół

wchodzą cienie, jeden po drugim; defilada marnych, marniejszych, na trzecim stopniu do piekła tłoczą się krewni. w razie gdybyś umarł z miłości daj najpierw znać o swoim wzroście, od razu pójdę do stolarza.

to Ja jestem, nie bójcie się, nakazał. tymczasem: patrzę na ciebie zza kilku długich granic, które biegną od skroni aż do palca wskazującego, granice których nikt nie strzeże. zanim umrzemy, zbiegi, cienkie skrzyżowania; nauczę się więcej nikomu nie przysięgać, tylko kochać.

nie wiem, o co chodzi w tym śnie. niemy pies porusza się do tyłu, aż wraca skąd przyszedł, ulica jest ciemna i bardzo dziwna, gram na trąbce, ale nikt mnie nie słyszy. nie wytłumaczysz mi co się stało, czarny mężczyzna o niebieskich oczach mówi: lepiej idź stąd, i już wiem, że więcej nie napiszę do ciebie żadnego listu, choćby wszystkie moje powroty w kruche miejsca okazały się stertą kości.

-Paulina Chyl

## Z ostatniej chwili: płońscy harcerze walczą o 1 %

Artykuł autorstwa Daniela Podleckiego

**Od początku stycznia zaczęło się rozliczanie roczne za 2009 rok. Tak jak w tamtym roku, harcerze z Płońska starają się o pieniądze podatników. Niestety, tylko niewielka część osób oddaje swój 1 proc. na rzecz organizacji pożytku publicznego. Pomóżmy harcerzom w ich śródrocznej pracy i przekażmy im nasz jeden procent**

W tym roku druhowie z 12. Płońskiej Drużyny Harcerzy „Iskra” w ramach akcji pozyskania jednego procenta rozdają ulotki, rozwieszają plakaty i próbują przekonywać coraz większą ilość podatników do przekazania im swojej części podatku.

W zeszłym roku harcerzom z Płońska udało się zebrać w porównaniu do innych organizacji bardzo małą kwotę. W 2010 roku harcerze oczywiście zamierzają pobić swój rekord. Zebrane dotąd środki zostały przeznaczone na organizację letniego wypoczynku dla dzieci, biwaki śródroczne, jak i materiały metodyczne potrzebne do prowadzenia zbiórek harcerskich.

Obecnie niewielka część podatników oddaje swój 1 proc. na rzecz organizacji pożytku publicznego. „Poprzez naszą kampanię zamierzamy także uświadaczać społeczeństwo, że warto, aby te pieniądze trafiły do kogokolwiek. Z pewnością zostaną dobrze wykorzystane przez każdą organizację, nie tylko naszą drużynę” – mówi jeden z druhow.

„Ty nie stracisz – my zyskamy” – to hasło dobrze opisuje całą kampanię 1 procenta dla Organizacji Pożytku Publicznego, jakim jest ZHR. Aby przekazać swój 1 proc. na rzecz płońskich harcerzy, należy obliczyć należną kwotę oraz wpisać odpowiednie dane w formularz rozliczenia rocznego:

- w polu "Nazwa OPP" - "Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej"
- w polu "Numer KRS" - "0000057720 "
- w polu "Informacje uzupełniające" - "MAZ-12-ISKRA".

Więcej informacji możemy uzyskać na stronie internetowej harcerzy: [www.12pdh.zhr.pl](http://www.12pdh.zhr.pl)



Zachęcamy Was do dzielenia się z nami Waszymi uwagami, spostrzeżeniami – możecie zrobić to albo tutaj, albo napisać na adres: [henrynews@wp.pl](mailto:henrynews@wp.pl). Zapraszamy również do przyłączenia się do Redakcji.



Mateusz Jarolim

**Autorzy tego numeru**

(wg kolejności alfabetycznej):

**Skład/grafika:**

K. Konstantinow

**Redakcja:**

T. Antosiewicz

W. Anczewska

M. Bajkowski

J. Brojek

P. Chyl

J. M. Drzewaszewska

E. Dzitowska

J. Felczak

K. Fijański

T. First

M. Gerasik

A. Gorzkiewicz

J. Jędras

I. Kamińska

K. Konstantinow

M. Kornatowski

M. Kozakiewicz

K. Langiewicz

A. Lisiński

M. Lutomirska

A. Magnuszewski

M. Markiewicz

J. Nowak

A. Pałac

Z. Paszkowska

K. Sendal

M. Sobiesiak

R. Szymański

M. Urbański

K. Zientarski

**Opieka merytoryczna**

M. Domańska

B. Dzitowska